

GŁOSY PODOLAN

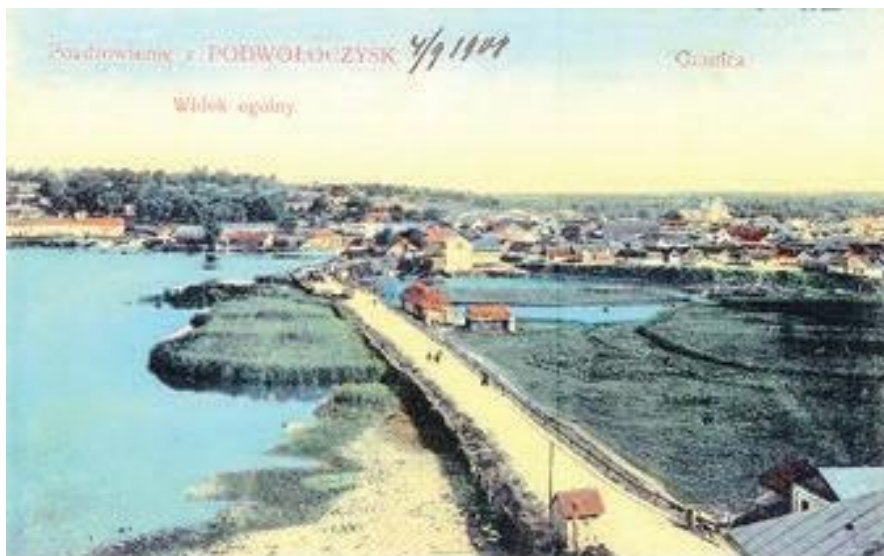


ISSN 1507-9996

Nr 161

KWIECIEŃ-CZERWIEC

2023



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław), Piotr Rudzki (Warszawa) Korektor.

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa: www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82
PKO BP I O. Poznań*

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: „Orange House” ul. Sosnowa 38, Bielany Wrocławskie

**Na okładce: Podwołoczyska nad Zbruczem (przejście graniczne
z ZSRR) - pocztówka z lat 20 XX w.**

SPIS TREŚCI

Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowianina (cz. VIII).....	s. 1
Józef Zbigniew SIEGEL	
Saga rodziny Siegelów (cz. IV).....	s. 7
Zuzanna WACYK	
Przemyślenia rodziny Gaców podczas II Wojny Światowej (cz. II - ostatnia)	
.....	s. 16
Władysław BIAŁOWĄS	
Historia figury Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej z Ihrowicy pow.	
Tarnopol (cz. II - ostatnia).....	s. 22
Tadeusz HOŁUBOWICZ	
Gehenna nauczyciela dyplomowanego Juliana Hołubowicza w latach	
okupacji (Czortków).....	s. 27
Jerzy MILLER	
Traktat ryski z 18 marca 1921 r. (cz.I),.....	s. 35
Alicja KOCAN	
Sentymentalnie o rzece Zbrucz	s. 43
Maria CIESIELSKA	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.V – dr Wojciech	
Lachowicz (Czortków).....	s. 46
Natalia ALEKSIUN	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.VI – Rodzina Stan-	
kiewiczów (Muszkatówka pow. Borszczów)	s. 47
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. VII – Antoni Wacyk	s. 49
Igor MEGGER	
Tajemnice Światowida ze Zbrucza	s. 50
REDAKCJA	
Aktualności z Podola oraz z życia Podolan w kraju	s. 54
Z żałobnej karty: Laszczyński Stanisław, Podhorodecki Tadeusz, ks. De-	
reń Mieczysław, Krechowicz Jerzy, Zawalkiewicz-Maciąg Mirosława	s. 57
Rok wojny - List z Kresów	s. 58
Pieśni ludowe z Podola z nutami cz. II – Oj, wyjżę ją przez okienko	s. 62
Stefan ŻYROMSKI	
Bądź pozdrowiona, ziemio Podola (wiersz)	s. 64



Bruno Brożyniak
Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowianina)

Cz. VIII

Rozdział VIII

Wojna małżeńska

Na Podolu zimy z reguły były ostre i śnieżne. W czasie takiej zimy, tonąc w śniegu po pas, z wielkim trudem dobrnąłem ze szkoły do domu. Nic dziwnego, że wieczorem ledwo przytknąłem głowinę do poduszki, już zapadłem w głęboki sen. W środku nocy zbudziła Bogusia i mnie wściekła awantura w kuchni. Mama z haczkiem do przeczyszczania rusztu krzyczała do taty:

- Tylko podejdź, to ci oko wydłubię!
- Podrapałaś mi twarz, ty wariatko! Zaraz tak ci przywalę, że oknem wylecisz! – groził tata.
- Bo mnie biłeś, znowu mnie biłeś, ty dziadu kalwaryjski!
- Tylko nie dziadu! – warknął tata i ruszył w stronę mamy.

Biegaliśmy z braciszkiem od ojca do matki, tuląc się do ich kolan, próbując rodziców uspokoić, ale awantura narastała. Z płaczem, boso, tylko w cienkiej piżamie, wypadłem po pomoc do Błyszczaków. Nawet nie czułem, że na dworze jest ze dwadzieścia stopni mrozu, a śnieg po pas.

- Pomóżcie, rodzice znowu się biją! – wyłkałem na ich ganku. Sąsiedzi szybko wpadli, uspokoiili tatę i mamę. Babcia w nocnej koszuli po kostki z wyrzutem powtarzała:
- Ludzie, co wyprawiacie! Dziecko boso po śniegu biegło, niechybnie dostanie teraz zapalenia płuc!

Ale ja nawet nie dostałem kataru. Widocznie emocje zwiększyły odporność. A była nam, dzieciakom, bardzo potrzebna, bo jeszcze niejedną awanturę między rodzicami przyszło nam przeżyć. Jak już wspomniałem, utarczki i konflikty zaczęły się, gdy tata wrócił z frontu. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, skończył się jego czas wojska, koszar i dobrej pensji. Imał się różnych zajęć, wspomnia-

łem o furmanieniu, ale był coraz bardziej nerwowy. Mama nie tylko dopingowała go do roboty, ale usiłowała zrobić z niego rolnika. To było jej największe marzenie i pasja. Ze strzępków rozmów i aluzji domyślałem się, iż w panińskim stanie podkochiwała się w przystojnym rolniku z Kadłuba, ale ten wybrał inną dziewczynę. A nasz tata wprost przeciwnie – nienawidził rolniczego znoju, doglądania gospodarczych zwierząt, babrania się w ich smrodzie i gnoju. I to było moim zdaniem jedno z zarzewi nieustannego łańcucha awantur.

Trwała druga wojna światowa, przez Czortków przewalały się armie i kolejne fronty, a w naszym domu toczyła się coraz bardziej zaciepła wojna małżeńska, raz po raz wybuchały krzykliwe utarczki, często o byle co, bo zamiast miłości narastała niechęć, zapiekłe urazy. Nieraz szliśmy z braciszkiem spać, by w środku nocy budzić się wśród wyzwisk, a nierzadko rękoczynów. A to mama miała podbite oko, a to ojciec chodził podrapany na twarzy i opowiadał, że kot go pociągnął pazurami. Po serii kolejnych awantur mój braciszek zaczął w nocy dostawać jakichś drgawek, spadał ze szlochem z łóżka.

– To przez te wasze wrzaski! Czort jakiś w was wstąpił! – z wyrzutem strofowała rodziców babcia. A gdy Boguś zaczął w konwulsjach raz za razem zlatywać z łóżka, zadziałała po swojemu. Któregoś dnia zjawiła się u nas dziwna baba. Już od drzwi zaczęła mamrtać jakieś zaklęcia.

– Kto to jest? – spytałem cichutko babcię.

– Ona przyszła odczyniać uroki. Zły duch nam szkodzi, po domu krąży.

Baba, ciągle mamrocząc zaklęcia, spytała:

– A który to ma nocne zwidy?

– No ten, młodszy! – wskazała babcia.

Baba znienacka chwyciła za nogi Bogusia, ostro wykrzyzczała nowe zaklęcia i nad progiem sypialni zaczęła nim telepać, trzymając dzieciaka głową w dół. A potem nie pytana przez nikogo, bo wszyscy zamilkliśmy z zadziwienia, burkliwie objaśniła:

– Złe, diabelskie moce z niego wytelepię, wypędzam zmory z głowy biednego dzieciaka.

Po tym odczynianiu uroków w domu na wiele tygodni było spokojnie, bo rodzicom chyba zrobiło się wstyd. I ta błoga, domowa cisza zapewne najbardziej Bogusiowi pomogła, a także jakieś pigułki uspokajające, które lekarz przepisał. Spokój nie trwał jednak zbyt długo, więc zaczęły nas odwiedzać delegacje rodzinne, ciotki i wujkowie, starając się pogodzić rodziców. Pewnej niedzieli zeszła się u nas prawie cała rodzina w tej sprawie. Pomogło tylko na jakiś czas. Po kolejnej wrzaskliwej awanturze zjawiała się u nas ciocia Cesia z synem Heńkiem. Ponieważ nagle wpadli do nas jacyś znajomi, ciocia poprosiła tatę na dwór. Nie minęło wiele chwil, gdy ciocia wpadła do domu:

– Janek mnie pobił, uderzył w twarz! – wyszłochała na progu.

– Gdzie on jest? – spytała mama i wypadła na dwór.

– Ona rzuciła się na mnie z pazurami! – warknął tata, czerwony ze złości jak indor.

Mama podbiegła do budynku gospodarczego, chwyciła widły, z którymi ruszyła w stronę Heńka:

– On pobił twoją mamę, masz, zadźgaj go! No, masz widły!

Skonfundowany Heniek, szczupły, wyjątkowo spokojny i grzeczny blondynek, stał jak skamieniały. Któryś ze świadków tej groźnej awantury wyrwał mamie widły z rąk i tak skończyła się kolejna mediacja.

Chyba ktoś doniósł na milicję, co się u nas dzieje, bo nagle przyszli po tatę i zamknęli w areszcie. Następnie znalazł się w budynku, gdzie Sowietci szykowali kolejną grupę Polaków do wywózki na Sybir. I wtedy mama wygrzebała jakieś oszczędności, chyba sprzedała biżuterię, i wykupiła tatę z tego obozu. Nie potrafiłem zrozumieć związku między dziką awanturą z widłami a tym wykupem i z nadzieją spytałem:

– To jednak mamcia jest za tatą, coś tam w sercu pika?

– Ojca dzieciom trzeba i tyle! – odparła rodzicielka.

Faktem jest, iż od tego zdarzenia kłótni było mniej, rodzice jakoś dochodzili do porozumienia w ten wojenny czas, gdzie spoty-

kało nas wiele innych kłopotów i zagrożeń. A spokój zupełny nastąpił, gdy tata poszedł do I Armii Wojska Polskiego. I wtedy zaczęli się koło mamci, ciągle bardzo ładnej i zgrabnej kobiety, kręcić oficerowie z ruskiej armii. Najbardziej wytrzymały był pewien major, stateczny blondyn. Po którejś wizycie mama rzekła:

– On mi spokoju nie daje, chce się ze mną żenić. Mówi, że jak ostatecznie przepędzą Niemców i wojna się skończy, wróci do Czortkowa po nas.

– Po nas? Jak to po nas? – spytałem.

– No, mówi, że wluubił się we mnie, zabierze nas do Rosji, zadba także o was.

– Czyli z tatą już koniec? – pytałem zupełnie skołowany. Przy kolejnej rozmowie ze mną na ten temat wybąkałem:

– A ja do żadnej Rosji nie pojadę. Tam zmienilibym się w jakiegoś Iwanka i Boguś też – odparowałem.

Wkrótce zalotnik ruszył ze swoim oddziałem dalej na zachód tłuc Niemców i mama jednak nie została ruską majorową.

Ostatni akt brutalnej małżeńskiej wojny rozegrał się w Obornikach Śląskich. Po dojściu Gomułki do władzy tata został wypuszczony z więzienia w Koronowie, gdzie przesiedział cztery lata jako więzień polityczny, wyrokiem sądu wojskowego został także zdegradowany do stopnia szeregowca. Wszystko formalnie pod zarzutem tak zwanej szeptanej propagandy. W czasie jakiejś bibki, gdy odbywał służbę wojskową we Włodawie, powiedział coś krytycznego na Związek Sowiecki, a faktem jest, że bolszewików głęboko nienawidził za zdraziecki najazd na Polskę w 1939 roku, za zbrodnię katyńską, o której mówił nam już w Czortkowie. Wojskowa bezpieka w I Armii WP miała chyba na niego zamiar i przed wspomnianą szeptaną propagandą zapewne wiedziano, że obok formalnego stopnia porucznika ludowego wojska miał stopień kapitana struktur konspiracyjnych. Był także ostro przesłuchiwany pod zarzutem, iż w rejonie Włodawy w czasie transportu amunicji do koszar wydał ją polskim partyzantom. Tłumaczył się, że na odludnej drodze partyzanci nagle wypadli z lasu, że szczupły oddział żoł-

nie miał szans na podjęcie walki obronnej, ale w papierach personalnych ojca na pewno zostały zapiski, wątpliwe w tę wersję.

Po przyjeździe z Koronowa tata wrócił prawie łysy, zmaltretowany psychicznie, jako były więzień początkowo nie mógł w Obornikach znaleźć pracy, został robotnikiem transportowym. Dopiero po pewnym czasie doceniono jego możliwości organizacyjne i został administratorem prewentorium dziecięcego „Siemianice” w obornickim uzdrowisku. Bardzo ucieszyło go formalne zawiadomienie, iż przywrócono mu stopień porucznika, że mógł wstąpić do ZBoWiD-u.

Mama przyjęła powrót taty raczej niechętnie, ale początkowo jakoś obywało się bez wyzwisk i awantur. Względna domowa idylla nie trwała zbyt długo. Znowu zaczęły się kłótnie, słowne utarczki. Od szeregu z nich byłem z daleka, bo dojeżdżałem do Wrocławia do IV ogólniaka i praktycznie biorąc, cały dzień nie było mnie w domu. O spokoju poznawałem po minie mojego braciszka. Gdy mnie witał uśmiechnięty, zadowolony, wiedziałem, że wszystko jest w jakim takim porządku. Gdy był smutny, milkliwy, to był sygnał, iż znowu iskrzyło.

Tata udawał, iż małżeństwo wróciło do dobrych lat sprzed wojny, ale na to było już wyrażnie za późno. Gdy w soboty i niedziele szedł gdzieś grać z kolegami w szachy, mieliśmy spokój. Jeśli siedział w domu, zaczynały się sprzeczki, wypominanie dawnych konfliktów, wyzwisk, wzajemnych złośliwości. Szczególnie ostro reagował na mamcine komentarze w sprawie swego udziału w wojnie. Pewnie chciał, żeby traktowano go jak bohatera wojennego szlaku, polskiego patriotę, którym w istocie był i od małości zaszczebiał nam szacunek do ojczyzny, jej symboli – orła, flagi biało-czerwonej, hymnu. My z bratem chętnie słuchaliśmy opowieści o walkach przed Warszawą, o krwawych bitwach w rejonie Kołobrzegu, gdzie Niemcy zbudowali wał umocnień blokujących drogę do Berlina, o tym, iż był dwukrotnie lekko ranny. Pokazywał także bogaty zestaw medali wojennych. Mama do tych opowieści nieraz wtrącała wyrażnie złośliwe komentarze:

– E tam, walczyłeś? Chowaleś się gdzieś po krzakach i tyle!

Na takie słowa tata czerwieniał ze złości, gdzieś wypadł z mieszkania albo siedział wyraźnie podminowany.

Gdy za jakiś czas wybuchła kolejna „bomba zegarowa”, awantura z rękoczynami, znalazłem okazję, żeby zapytać ojca:

– Przecież widać, że z was nie będzie już zgodnego małżeństwa. Może lepiej, żeby tata znalazł sobie jakąś kobietę?

– Co ty Runek mówisz? Ja kocham mamcię!

– Po tych strasznych awanturach i biciu mamy? Co to za miłość?

– Ty tego, gówniarzu, nie zrozumiesz. Ja ją bardzo kocham i wszystko chcę jej wybaczyć.

– Ale mamcia nie chce wybaczyć i zapomnieć, że tata ją wiele razy pobił, złamał jej nos.

– Bo pyskowała, bo mnie wyzywała.

I nadszedł taki dzień, iż Boguś przywitał mnie bardzo smutno. Zrezygnowany i przygaszony powiedział:

– Było strasznie. Najpierw się wyzywali, ale potem ojciec doskoczył nagle i ciężko pobił mamcię.

Pobiegłem do pokoju, w którym leżała mama. Twarz miała mocno posiniaczoną, cała była pobita.

Stałem chwilę, jak sparaliżowany, a potem powiedziałem do mamy:

– Tak dalej być nie może! Któregoś dnia jedno z was pójdzie do ziemi, a drugie do więzienia.

Tata gdzieś się zmył, a my deliberowaliśmy, co dalej robić. W końcu stanęło na tym, iż spróbujemy uciec od taty. We Wrocławiu poszedłem do cioci Cesi, opowiedziałem o naszej gehennie i spytałem, czy możemy przeprowadzić się do nich na poddasze, bo żyć w mieszkaniu w Obornikach dalej się nie da. Ciocia się zgodziła. Zamówiłem ciężarówkę, przedtem spakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i cichcem uciekliśmy z Obornik.

W ten trudny czas serdecznie nas przygarnęła rodzina Skrabków, wspomniana ciocia Cesia, jej syn Heniek. A potem także jego energiczna żona Teresa. Zamieszkaliśmy na poddaszu przy ul. Sudeckiej 140 w jednym małym pokoiku, obok była równie mała kuchnia i łazienka. Z czasem udało się uzyskać drugi pokoik, w

którym mieściła się tylko leżanka. Było ciasno, w zimie chłodno i nie pomógł przenośny piec kaflowy, który z bratem przywlekliśmy na sankach z dalekiej ulicy Krakowskiej.

Nasz zdesperowany wyjazd z Obornik był oczywistym końcem małżeństwa rodziców. Ani mama, ani tata nie założyli nowych związków. Czy to małżeństwo, tak niedobre charakterami i życiowymi zainteresowaniami, trwałoby w miarę zgodnie, gdyby nie wybuch drugiej wojny światowej, gdyby tata większość czasu przebywał w koszarach, przynosił co miesiąc dobre pobory, a mama rządziła sobie w domu? Wszak osobno biorąc, było to dwoje wartościowych ludzi. Mama – pracowita, po kresowemu skrzętna i serdeczna dla ludzi, poprzez prace w ogrodzie, sadzie, przy zwierzętach wpoila w nas umiłowanie przyrody. Ojciec był zawołanym żołnierzem, patriotą. Jak wspomniałem, od małości uczył nas szacunku dla państwa polskiego. Bez odpowiedzi pozostanie pytanie, na ile związek tych dwojga ludzi oparty był na uczuciach, na miłości, a ile na przypadku, iż bardzo ładna dziewczyna wynosiła przed koszary wiadra pełne dorodnych, podolskich wiśni, czereśni, malin, śliwek, gruszek, jabłek i wpadła w oko pewnemu podoficerowi Korpusu Ochrony Pogranicza? Jedno jest pewne, iż rodzice zmarnowali sobie większość życia, a nam zatruli i tak niełatwe dzieciństwo czasów wojny. Cdn.

Józef Zbigniew Siegel
Warszawa

Saga klanu Siegelów

Cz. IV

V. Wojna.

W pamiętny piątek 1 września 1939 roku hitlerowskie Niemcy bez wypowiedzenia wojny zaatakowały Polskę. Szczególnie dla czortkowskiej rodziny Siegelów nastał czas trudny i jakże brzemienny w skutkach. Ojciec pomny doświadczeń z wojny światowej, natychmiast dokonał w hurtowniach zakupów całego szeregu

artykułów pierwszej potrzeby. A to worek soli, a to worek sody do prania, kilka skrzynek mydła i kilka skrzynek podków dla koni oraz gwoździ do ich podkuwania. Na co starsze dzieci ze zdziwieniem: - Tato! Przecież my nie mamy koni, to po cóż nam podkowy ? Na co dziadzio odparł: - A zobaczycie jeszcze jak smakują gwoździe do podkuwania koni, jak zamienicie je na wsi za kopę jajek czy poleć słoniny. Tak też się stało. Mówiłem płynnie po ukraińsku i dlatego w późniejszym czasie często wyprawiałem się do podmiejskich wiosek na taki właśnie handel wymienny. Pierwsze wojenne dni upływały w niepewności, wysłuchiowaniu sprzecznych informacji radiowych i szeptanych, nadziei na pokonanie wroga. Dorosłych zaprzętała troska o niepewny byt rodziny.

Harcerze, a wśród nich i ja, brali udział w różnych akcjach: roznoszenia kart mobilizacyjnych, sprawdzania zaciemnienia, kopania rowów ochronnych przed nalotami. W atmosferze stanu wojennego rok szkolny rozpoczął się 4 września. Na terenie szkoły im. Jana Sobieskiego zgromadziły się rezerwowe oddziały naszych pułków KOP-u przed wyjazdem na front, gdzie kilka dni później walczyły już w szeregach Armii Pomorze. Uczniowie byli instruowani, jak należy się zachować w razie nalotów, jak działać spotykając osoby mogące być szpiegami, itp. Wszystkie wyznaczone zadania młodzież traktowała bardzo poważnie. Wszelkie nadzieje, w tym na pomyślny rozwój sytuacji na froncie, prysły w niedzielę 17 września 1939 roku. W porannym dzienniku radiowym dziadzio wysłuchał hiobowej wieści, że Ruscy od rana wkraczają do Polski, a więc na dwunastą na pewno będą w Czortkowie. Rzeczywiście. W południe stojąc wraz z ojcem przed domem zobaczyłem pierwszy patrol sowieckich żołdatów. Ojciec zapytał oficera – „Po co i dokąd idziecie?”. Ten nawet grzecznie odpowiedział – „Idziom wam w pomoc, idziom na Germańca”. Jak ta „pomoszcz” wyglądała mieliśmy się wkrótce przekonać. Potem przez miasto zaczęła się przewalać reszta sowieckiej armii „obrońców”. Około trzeciej po południu oglądaliśmy bitwę powietrzną kilku samolotów polskich, rosyjskich i niemieckich. Może czytelnik tej sagi nie uwierzy, ale w 1978 roku oczekując przybycia ministra budownictwa na budowę fabryki cią-

gników „Ursus”, w swoim biurze gościłem kawą starszych od siebie pracowników ministerstwa. Oczywiście wywiązała się rozmowa, podczas której zaczęliśmy wspominać okres wojny. Kiedy opowiedziałem im o wkraczaniu bolszewików do Czortkowa i o zapamiętanej bitwie lotniczej nad miastem, jeden z obecnych tam starszych panów zapytał: „Panie Zbyszeku, a ile pan miał wtedy lat”. „Dzie sięć” - padła odpowiedź. „Myślę, że mógł pan zapamiętać tę bitwę lotniczą i mogę panu też powiedzieć, że nie było tam wtedy samolotów niemieckich. Natomiast w jednym z polskich samolotów byłem ja, jako polski pilot. Wobec wkraczania armii sowieckiej na teren Polski nasza eskadra stacjonująca w Równem, dostała rozkaz przebijania się do Rumunii, co nam się udało. Potem przez Francję dostaliśmy się na Wyspy i wzięliśmy jeszcze udział w Bitwie o Anglię”. Wróćmy jednak do roku 1939. Sowieci niezwłocznie przystąpili do organizacji życia czortkowianom po swojemu. Tzw. proza życia codziennego od razu zaczęła dokuczać mieszkańcom miasta. „Ruski bardak” wciskał się wszędzie.



Sowieckie plakaty propagandowe z września 1939 roku.

W krótkim czasie wszystkie sklepy zostały zamienione w państwowe „kooperatywy”, gdzie po kilogram cukru trzeba było

stać w kolejce nieraz więcej niż 24 godziny. Brak zapalek zastępowaliśmy pożyczonymi na łopatkę od sąsiadki kilkoma rozżarzonymi węgielkami. Kto miał zapas mąki, ten mógł upiec chleb w duchówce, czyli tak zwanej „bratrurze”. O zaistnieniu jakiegokolwiek „kooperatywy” z artykułami przemysłowymi można było tylko pomarzyć. Zaczęła się stabilizować sowiecka administracja i szkolnictwo. Zlikwidowano nasze gimnazja i licea łącząc je w jedną „diesiatiletkę” tj. dziesięciolatkę. W tym systemie ja, jako trzecioklasista trafiłem do drugiej klasy diesiatiletki. Wanda z klasy pierwszej gimnazjum znalazła się w klasie piątej, a Franka z pierwszej liceum cofnięto do dziewiątej klasy ruskiej dziesięcioletniej szkoły średniej. Dawna polska administracja szkół oraz nauczycielstwo nie odpowiadające programom ruskiej szkoły straciły pracę, co oczywiście postawiło sporą liczbę polskich rodzin w trudnej sytuacji materialnej i bytowej. Okupanci od razu przystąpili do rozprawy z polską większością Czortkowa, co zresztą dotyczyło Polaków na całych wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Represjami objęto szczególnie inteligencję, duchowieństwo, urzędników, rodziny wojskowych oraz osadników i właścicieli ziemskich. Trudno się więc dziwić, że grupa patriotycznie nastawionej młodzieży 22 stycznia 1940 roku podjęła próbę powstania przeciw władzy sowieckiej.

Już w październiku w Czortkowie powstał załazek konspiracji. Organizatorami byli m.in. Heweliusz Malawski – ppor. rez., Tadeusz Bańkowski – uczeń starszej klasy gimnazjum i Józef Opacki – nauczyciel gimnazjalny i harcmistrz. Konspiratorzy planowali akcję zbrojną, która pozwoliłaby na przerzut młodych mieszkańców miasta do Rumunii, a stamtąd do Wojska Polskiego organizującego się we Francji. Obawiano się wcielania młodych Polaków, do *Krasnoj Armii*, gdyż bolszewicy zarządzili przymusową rejestrację mężczyzn. Istniało też niebezpieczeństwo dekonspiracji, a wiadomo czym to groziło ze strony NKWD. Na początku stycznia 1940 uznano, że pojawiła się szansa na pomyślną akcję. Sowiecki garnizon w Czortkowie nie był liczny, gdyż znaczna jego część została wysłana na front fiński, gdzie zresztą sowieci zbierali cięgi od dzielnych Finów. Termin akcji wyznaczono na noc z 21/22

stycznia, w rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego. Czortkowscy powstańcy chcieli opanować koszarę, więzienie i dworzec kolejowy, skąd mieli ruszyć zdobytym pociągami do Rumunii. Wieczorem 21 stycznia 1940 roku w kościele dominikanów zebrało się kilkudziesięciu Polaków. Nie mieli prawie broni, liczyli na zdobycze w sowieckich koszarach. Niestety, nie udało się. Przyczyn niepowodzenia było wiele. Krótki czas, zaledwie kilku miesięcy od czasu sowieckiej agresji, nie pozwolił na okrzepnięcie konspiracji. Zawiodło rozpoznanie, odpadł element zaskoczenia, nie było czym walczyć. Nie opanowano wyznaczonych celów. Grupy powstańców uległy rozproszению. Zuchwały plan przerósł ich możliwości. Straty czerwonoarmistów wyniosły trzech zabitych i dwóch rannych.



Z lewej: hm. Józef Opacki, którego grupa konspiracyjna nie wzięła udziału w powstaniu, a on sam był mu przeciwny. Z prawej: uczeń Tadeusz Bańkowski, jeden z organizatorów konspiracji w Czortkowie, uczestnik powstania, skazany na 10 lat łagru.

Zaczęły się represje na dużą skalę. Wiadomo już, że następnego dnia o czortowskim zrywie został poinformowany Iosif Wisarionowicz Stalin. Podobno bardzo się na Czortków zagniewał. Do zbuntowanego miasta wysłał Sierowa (wraz z Mierkułowem), to jest zastępcę samego szefa NKWD Berii, który to dostał polecenie wypłenicia z korzeniami jakichkolwiek polskich ruchów wolnościowych. Aresztowano kilkaset osób; uczestników powstania oraz osoby, które cokolwiek wiedziały o spisku oraz ich bliższych i dalszych krewnych.

Wg dokumentów znajdujących się w zbiorach Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku, aresztowano około sześciuset osób, które wg NKWD miały związek z powstaniem. Na karę śmierci i rozstrzelanie skazano co najmniej 24 powstańców, choć prawdopodobna jest również liczba 35 osób. Dziesiątki skazano na wieloletni pobyt w łagrach. Większość powstańców i osób z nimi związanych trafiło do czortowskiego więzienia. Pod koniec czerwca 1941 roku Sowieci wymordowali około tysiąca więźniów osadzonych w tym zakładzie, wśród nich zapewne byli i uczestnicy czortkowskiego zrywu. W kontekście powstania czortowskiego historycy często słowo „powstanie” ujmują w cudzysłów. Zbrojny zryw bywa traktowany jako odruch młodzieży wychowanej na romantycznych wzorcach lub akcję wskutek bezpodstawnej decyzji konspiracyjnych dowódców, którzy narazili młodzież i ludność na sowieckie represje. W swoim czasie poważnie traktowany był pogląd, że powstanie było prowokacją zorganizowaną przez Sowietów, co jednak nie znalazło potwierdzenia w ujawnionych raportach NKWD.

Franciszek jako jeden z uczestników powstania przez kilka tygodni ukrywał się na różnych sąsiedzkich działkach, a trzeba wspomnieć, że zima 39/40 była bardzo ciężka - nocami trzaskające mrozy dochodziły do 35-40 st. C. Ojcu Janowi udało się znaleźć uczciwego przewodnika, który przeprowadził Franka wraz z jego serdecznym przyjacielem Tadeuszem Marcinkowskim (nazywanym, nie wiadomo dlaczego, „Merciem”) do Rumunii. Po dwóch tygodniach z Belgradu w Jugosławii przyszła kartka z pozdrowieniami podpisana „konspiracyjnie” - Tadefrant. W domu przez wiele tygodni NKWD przeprowadzało nocne rewizje w poszukiwaniu Franka. Dalsze jego losy we Francji, Anglii, Niemczech, Kanadzie, aż do powrotu do kraju w 1957 roku mogłyby stanowić kanwę niejednego scenariusza filmowego. W późniejszym okresie, już w latach okupacji niemieckiej 1941/44 do domu docierała korespondencja ze szwajcarskiego miasta Wetzikon w kantonie Zurych. W listach pana Tchopp Kellera zawarte były informacje, że Franciszek żyje i przeszedł kampanię francuską w 2 Dywizji Strzelców Piechoty pod dowództwem gen. Prugar-Ketlinga. W 1943 roku kore-

spondencja urwała się. Dziś jest już wiadomo dlaczego. Franciszek opuścił Szwajcarię, przez Francję Vichy przebił się do Hiszpanii, Portugalii i w końcu dotarł do Wielkiej Brytanii. Tam przeszedł przeszkolenie w oddziale „cichociemnych”, a wojnę zakończył w dywizji generała Maczka.

Wypada tu wspomnieć też przyjaciela Wilhelma – Zenona Ruścickiego. Tenże Zenon pochodzący z rusińskiej (dziś nazywanej ukraińską) rodziny, chcąc być w pełni akceptowanym przez polskich przyjaciół, odebrał z cerkwi unickiej swoją metrykę urodzenia i złożył ją w parafii rzym. - kat., czyli w kościele o.o. Dominikanów. Zenon wziął udział w Powstaniu Czortkowskim i za to został skazany na 10 lat łagru. Udało mu się wydostać z Syberii. Wraz z Armią Andersa opuścił „niełudzką ziemię”, lecz w maju 1944 roku zginął pod Monte Cassino, tak jak i wielu jego polskich przyjaciół.

22 czerwca 1941 roku Trzecia Rzesza napada na Związek Radziecki. Wszystkie władze sowieckie w pośpiechu i panice zaczynają organizować swoją ucieczkę. Pomimo tego w przeddzień ostatecznej ucieczki wysadzają wszystkie mosty na Serecie, podpalają klasztorne budynki i przyległe do kościoła dominikanów pomieszczenia oraz w bestialski sposób mordują 8 księży i braci zakonnych, którzy zamieszkivali pozostawioną im część klasztoru po konfiskacie i zamianie na koszary pozostałych obiektów klasztornych. Starsi zostali zamordowani w swoich celach, czterech młodszych wyprowadzono za miasto i tam nad Seretem, na Czerwonym Brzegu zamordowano. Mieszkańcy Czortkowa szybko odkryli ich tymczasowe mogiły w szczerym polu. Wielu zrozpaczonych ludzi brało jak relikwie kępy traw zroszonych krwią męczenników. Po wejściu Niemców odbył się uroczysty pogrzeb na cmentarzu katolickim czterech dominikanów zamordowanych w klasztornych celach. Jako ministrant usługiwałem do Mszy Świętej wszystkim zamordowanym księżom. Drugą potworną zbrodnią był mord dokonany podczas likwidacji czortowskiego więzienia na przełomie czerwca i lipca 1941 roku. Z rąk funkcjonariuszy NKWD lub na skutek niełudzkich warunków transportu poniosło śmierć co najmniej 890 więźniów. Polacy po koszmarze rządów „braci Moskali”

wkraczających Niemców nie witali kwiatami jak wyzwolicieli, ale odetchnęli z ulgą. Natomiast różnicę, a w zasadzie jej brak, między „dziczą azjatycką”, która w 1939 roku opanowała nasz kraj, a cywilizacją reprezentowaną przez „kulturalnych” i porządnie umundurowanych Niemców poznaliśmy już po kilku tygodniach nowej okupacji. Zsyłki na Sybir zastąpione zostały wywozem do pracy przymusowej w Niemczech. Nocne rewizje NKWD zastąpiły aresztowania w dzień i przesłuchania na Gestapo. Pozostali w mieście Siegelowie też nie szukali ciepłego miejsca na przypiecku i jak tylko zaistniała możliwość do walki z okupantem włączyli się do działania w ramach organizującej się Armii Krajowej. Historia Ludwiki – Wisi już została przeze mnie wspomniana.

Paweł Budyś, brat Feliksa oraz brat Wilhelm mimo prowadzenia normalnej pracy zawodowej (kaflarskiej) byli aktywnymi żołnierzami oddziału Komendy Dywersji AK. Brali kilkakrotnie udział w akcjach dywersyjnych oraz wykonywaniu wyroków śmierci na skazanych przez sąd podziemny gestapowcach lub tak zwanych „szmalcownikach”, konfidentach, itp. Wanda oprócz uczęszczania do średniej szkoły handlowej (tylko tego rodzaju średnie szkoły były dozwolone przez okupanta) brała udział w szkoleniach wojskowych. Zbyszek z uwagi na młodociany wiek nie został oficjalnie zaprzysiężony, jednak nie mógł być izolowany od spraw dziejących się w domu. Tam przecież przechowywana była broń „Kedywu”, odbywały się zbiórki uczestników różnych akcji dywersyjnych i gdzie dokonywano dystrybucji prasy podziemnej. Nie było możliwości utrzymania w tajemnicy przed młodocianym członkiem rodziny działalności pozostałych dorosłych. Dlatego też był on wprowadzony w niektóre tajniki konspiracji, ale bez prawa bezpośredniego udziału w akcjach. Pełnił funkcję łącznika, gońca lub kolportera prasy podziemnej: Biuletynu Informacyjnego, czy też Biuletynu Informacyjnego Ziemi Czerwieńskiej. Przy tej okazji opowiem o pewnym wydarzeniu, którego finał o mało co nie zakończył się tragicznie. Otóż brat Wilek podczas konserwacji broni uczył mnie obsługi rosyjskiego karabinu. W chwili ładowania karabin wypalił i bardzo niewiele brakowało do tego, aby Wilhelm zo-

stał ranny, a nawet odniósł śmiertelne obrażenia. Przez cały czas okupacji niemieckiej w Czortkowie stacjonowała jednostka wojsk węgierskich, będących sojusznikiem Niemiec. Pomimo tego Węgrzy byli przyjaźnie nastawieni do Polaków. Chłopcy z AK kupowali od nich broń, natomiast ja kupowałem papierosy, którymi potem handlowałem na bazarze. Tak to w czasach wojennych dzieci bardzo szybko wchodziły w dorosłe życie. Warto również wspomnieć, że Węgrzy dostarczali Polakom w okupacyjną noc chwil patriotycznych wzruszeń. W marcu 1942 roku w dniu święta narodowego Węgrów oddział kilkudziesięciu żołnierzy w zielonych mundurach równym, marszowym krokiem wkroczył do kościoła dominikanów na mszę świętą. Przed wojną tak wkraczali do tego kościoła nasi żołnierze KOP-u. Wrażenie było dla nas piorunujące. Wielu ludzi miało łzy w oczach. Po mszy świętej, wśród tłumu mieszkańców oddział z wieńcem przemaszerował ulicą Mickiewicza na cmentarz katolicki do znajdującego się tam Grobu Nieznanego Żołnierza. Jako wszędobylski Zbyszek byłem tego świadkiem. Niemieccy żandarmi zastąpili ludziom drogę przy bramie cmentarnej z wrzaskiem: „Raus!!!Weg!Weg!!!” Kilka osób zostało dotkliwie pobitych.

Nemieccy okupanci nie byli jedynym zagrożeniem dla Polaków na Kresach. W latach 1943-44 nasiliły się zbrojne napady i mordy Polaków przez bandy ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN – UPA. W miastach, gdzie ludność polska była liczniejsza od ukraińskiej napady zdarzały się rzadziej, ale i tam w miarę możliwości Polacy starali się być przygotowanymi na najgorsze. W Czortkowie liczyli na pomoc i obronę ze strony stacjonujących tam Węgrów. W domu Siegelów, znajdującym się z dala od śródmieścia, byliśmy przygotowani do obrony mając do dyspozycji w razie potrzeby arsenał „Kedywu”. Na wiosnę 1944 roku front sowiecki zbliżał się do terenów Polski, a tym samym i do Czortkowa. Ojciec chcąc zminimalizować ewentualne „najgorsze” podjął decyzję o ewakuacji części rodziny do Bochni. W marcu ‘44 Rosjanie byli już bardzo blisko miasta. Walki toczyły się kilka dni. Był nawet czas, że rusczy zajęli tylko lewobrzeżną część Czortkowa, a na drugim

brzegu Seretu bronili się Niemcy, którzy w ten sposób osłaniali wycofywanie się dużych sił niemieckich z terenów Ukrainy. W końcu Czortków ponownie został „wyzwolony”. Na tym kończę ten rozdział o rodzinie w latach pożogi, ale okres wojny i okupacji będzie się jeszcze niejednokrotnie przewijał na kartach sagi. Cdn.

Zuzanna Wacyk

Przygody rodziny Gaców podczas II Wojny Światowej **Cz.II - ostatnia**

Wyjazd z Rosji



Jan Gac 1941r

Tak więc pożegnaliśmy nowe przyjaźnie i znajomości i zamieszkaliśmy z setkami podobnych nam na stacji kolejowej w Taszkencie. Prześladował nas głód i plaga pcheł. Aż dziw, że z naszej rodziny nikt nie zachorował na tyfus, bo w tym tłumie i brudzie były i wszy. Tyfus brzuszny plamisty, czerwotka dziesiątkowały tych wycieńczonych i wychudzonych ludzi z łagrów i syberyjskich obozów karnych. Umierali jak muchy, choć już wolni. Brat Edward w Guzar przeżył czerwone tylko dlatego, że zajął się nim starszy sierżant rodem Probużny. Ojca nie przyjęli do wojska, bo był bardzo wycieńczony, więc musiał wracać do rodziny, podróżując na zderzakach między wagonami. Znalazł nas w Taszkencie. Nie pamiętam daty wyjazdu do Krasnowodzka, ani warunków podróży. Pamiętam ścisk na przeładowanym okręcie – cysternie, którym płynęliśmy do Pahlawi w Persji, pełnym chorych dzieci, żołnierzy i cywilów.

Persja (Iran)

Wyszliśmy na ląd brudni i chorzy, ale po dezynfekcji i kąpeli, już w Persji (Iran), czuliśmy się lepiej. Dostaliśmy czyste koce i wydezynfekowane pozostałości naszych ubrań. Potem jakieś czyste łaszkę z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Ojciec zgłosił się

znów do wojska i został przyjęty, Miał czterdzieści cztery lata. Następne miejsce zamieszkania, to obozy blisko Teheranu w Persji. Tu już były szkoły, gimnazja, harcerstwo, kaplice i nabożeństwa.

W międzyczasie brat przyjechał na urlop i sprawił nam wielką niespodziankę, co prawda po dwóch tygodniach musiał wracać do oddziału w Iraku, gdzieś blisko Kirkuku. Naszą rodzinę i wiele innych czekała podróż do Ahwazu - jednego z najgorętszych miejsc na świecie. Tam mieszkaliśmy parę miesięcy, a potem pojechaliśmy pociągiem do portu Khoramskiah (Karamsza) i tam spotkała nas cudowna niespodzianka. Cekał na nas polski okręt - Batory. Białoczerwona bandera. Trudno opisać naszą radość! Był to dzień 2 grudnia 1943 r. Płynęliśmy, jak w bajce, siedem dni do portu Karachi. Byliśmy częścią konwoju, bo łodzie niemieckie podwodne i tam krążyły. Marynarze urządzili nam Św. Mikołaja, a nasze młode serca (starsze też) pokochały ich wszystkich, bo jakże mogło być inaczej? Po siedmiu dniach pożegnaliśmy kawałek „Naszej Polski” i zamieszkaliśmy w obozie w namiotach 18 km od Karachi. Był to obóz „przejściowy” skąd kierowano rodziny do osiedli w Afryce Południowej, Ugandzie, Kenii, Rodezji oraz do Indii. Nowa Zelandia przyjęła 1 listopada 1944 r. 735 dzieci polskich uratowanych z piekła Rosji, większość to sieroty. Towarzyszyło im 105 osób personelu nauczycielskiego i gospodarczego. Dzieci w wieku czterech do siedemnastu lat. Ale to już inna historia.

W Karachi byliśmy do zamknięcia obozu w październiku 1945 r.

Valivade-Kolhapur



Fragment domów mieszkalnych

Podróż pociągiem do Valivade-Kolhapur przez dżunglę była ciekawa i długa. Tropikalne drzewa, liany i małpy, które na przystankach próbowały atakować pociąg. Wieczory i noce były przepiękne i urzeakały nas tysiącem świetlików krążących wśród drzew. W Valivade spotkały nas znajome pa-

nie, które już się tu zadomowiły i dawały nam wskazówki jak zacząć żyć bez wspólnej kuchni i jadłodajni. Mamcia musiała się nauczyć, jak rozżarzyć węgiel drzewny w małym okrągłym piecyku, aby ugotować przyzwoity posiłek i jak robić zakupy.

Mieszkaliśmy w długich barakach przedzielonych matami na 12 dwupokojowych mieszkań. Każdy musiał mieć nad łóżkiem rozciągniętą moskitierę, bo po monsunie, (okres ulewnych deszczy) komary atakowały, a komarzyce przez ukąszenie zostawiały zarazki malarii. To jeszcze jeden dodatek do chorób zebranych w naszej wędrówce. Nikt z naszej rodziny nie przeszedł tyfusu, ale malaria męczyła nas bardzo często. „Podłoga” w naszych mieszkaniach musiała być mazana krowim łajnem, co z wielką zręcznością robiły Hinduski z okolicznych wiosek. Była to samoobrona przed karaluchami, które i tak atakowały.



Hela, Józia, Honorata i Zuzia, Babcia i Dziadek Gac – Indie 1943 r

Szkoły powszechnie, gimnazja, harcerstwo, kwitły! Gimnazja miały 80% profesorów z prawdziwego zdarzenia. Bardzo oddani, choć podręczników i pomocy szkolnych było bardzo mało. Harcerstwo prowadzili ludzie dbający o młodzież i uważam, że wychowali

nas na dobrych obywateli i porządnym ludzi. Był też szpitalik i bardzo dobra opieka lekarska. Kościółek był zawsze pełen rozmoldzonych starszych i młodych. Większość rodzin miała ojca, brata, syna czy męża w Drugim Korpusie Armii Gen. Andersa, to też ciągle wyczekiwaliśmy listów od nich z Iraku, Palestyny i Włoch.

Bitwa pod Monte Cassino

Brat Edward miał 19 lat, był saperem i jako jeden z pierwszych przeszedł atak, gdzie w jednym czasie tysiąc sto armat ostrzeliwało klasztor. We wspomnieniach mówił, że jeśli jest piekło, to on już je przeszedł. Wyniósł stamtąd kawałek szrapnela w płucu, no i Krzyż Walecznych. Ojciec, który był w warsztatach armijnych, odszukał go w szpitalu i dziękował Panu Bogu, że jego syn żyje.

Anglia

Wielkie rozczarowanie. Te ciężkie walki o Monte Cassino, Loreto, Bolonię nie dały nam nic! Żołnierze innych krajów jechali do swoich domów. Drugi Korpus do domu jechać nie mógł, bo ich domów już nie było. W listopadzie 1947 r. przypłynęliśmy z Indii do obozu w Anglii. Obozy poamerykańskie to metalowe beczki, na środku piecyk, w którym nie było czym palić. Wszystkie potrzebne do życia rzeczy i prowiant były na kupony (jedno jajko na tydzień). Na szczęście przyszła wiosna. Mamcia jak inne matki, zajęła się hodowaniem kur i królików. Lasy były pełne prawdziwków, których Anglicy nie znali. Mleko przywozili pobliscy farmerzy, a latem zabierano kobiety do pracy przy zbieraniu chmielu, zrywaniu owoców i jagód w sadach i do podobnych gospodarskich zajęć. Ojciec po zdemobilizowaniu dostał pracę w pobliskim miasteczku Hereford. Brat Edward pracował w stalowni w Birmingham. Józia, średnia siostra, wyszła za męża i też zamieszkała w Birmingham. Helena, najmłodsza siostra, wyjechała do szkoły, gdzie zdała polską i angielską maturę. Ja wyjechałam wygładzić język angielski, bo słówka i gramatykę już opanowałam w gimnazjum w Indiach.

W marcu 1949 r. zmarł nasz dziadzio Kazimierz Gac, a babcia Helena Gac poszła za nim w tym samym roku, we wrześniu. Leżą w Anglii, w małej miejscowości niedaleko Hereford.

Kanada

Nasz wujek i ciocia, Jan i Karolina Nakoneczni z synem Czesławem z Suchodołu po wyjeździe z Rosji zostali wysłani do osiedla w Ugandzie w Afryce, gdzie przeżyli parę lat do zakończenia wojny i z stamtąd wyjechali do Kanady. Kornel, ich starszy syn, był w lotnictwie, odbył 25 lotów bojowych. Po demobilizacji wyjechał do Kanady, by połączyć się z rodziną. Po pewnym czasie zaprosił brata i mnie do Kanady, więc w listopadzie 1950 r. wylądowaliśmy w Halifax – Kanada. A potem pociągami do Toronto. Mieszkaliśmy u wujostwa przez dwa lata, aż do przyjazdu rodziców z siostrą Heleną. O pracę i mieszkanie było bardzo trudno, ale w końcu i jedno i drugie znaleźliśmy i wspólnymi oszczędnościami kupiliśmy dom. Józia (siostra) z mężem i małym synkiem Andrzejem przyjechali dwa lata później.



Rodzina Nakonecznych z młodszym synem w Afryce – 1945 r.

Powoli zaczęliśmy przyzwyczajać się do nowych warunków. W Toronto był polski kościół, polskie sklepy i polskie gazety. Ludzie przedwojennej zarobkowej emigracji trzymali się razem i utrzymywali polskość. Większość mówiła gwarą, ale dzieci musiały mówić po polsku. Były polskie sobotnie szkoły i młodzież była dwujęzyczna. Były organizacje, amatorskie grupy teatralne, oraz grupy taneczne, gdzie dzieci uczyły się ludowych tańców.

Po pewnym czasie zaczęło nam się lepiej powodzić. Organizacje urządzały bale i zabawy. Karnawał był roztańczony. Męża mego, Edwarda, poznałam mając 34 lata i cieszyłam się, że jest z naszych stron. Urodził się niedaleko Zaleszczyk, wakacje spędzał w Niżborgu Szlacheckim (skąd pochodziła jego matka z domu Dobrucka). Ojciec, Józef Wacyk, był funkcjonariuszem policji śledczej, więc rodzina mieszkała w Tarnopolu i Kołomyi, zależnie od tego, gdzie pracował. Ojciec po wrześniu wyjechał przez Rumunię, Węgry i Francję do Szkocji, a matkę z córką Danutą i synem Edwardem wywieźli 13 kwietnia 1940 do Kazachstanu. Edward dostał się do Armii Andersa, a matka z siostrą wróciły do Polski w 1946 r. Spotkali się potem wszyscy w Anglii (matka i siostry z dużymi przygodami) w 1947 r. Rok później wyemigrowali do Kanady.

Edward Wacyk i ja bywaliśmy na wszystkich polskich uroczystościach, zabawach i piknikach i tak kiedyś szczęśliwym trafem poznaliśmy się. W listopadzie 1960 r. pobraliśmy się i założyliśmy rodzinę. Marek i Ewa to nasz najlepszy dorobek. Uczęszczali do katolickich szkół, za co trzeba było płacić. Potem uniwersytet też pochłonał masę dolarów, ale dostali dyplomy. Oboje mają po dwa fakultety. Zachęcaliśmy ich do podróży, toteż zwiedzili Europę z Polską włącznie, Australię, Nową Zelandię, Stany Zjednoczone. Za mało znają Kanadę, ale to się odkłada na potem... Dzieci założyły już rodziny i pozwalają dziadkom pilnować i cieszyć się wnukami.

W wolnych dniach odwiedzamy znajomych i dzięki Internetowi, koresponduję z koleżanką ze szkoły powszechnej w Husiatynie, Stasią Ziółkowską i sąsiadem z Suchodołu Edwardem Popielem. Dzięki Edwardowi Popielowi dostałam parę numerów „Wsi Kresowej” i dlatego piszę o naszych losach. Wielu rzeczy nie pamiętam, z

wielu osobami nie mam styczności. Mam 78 lat. Wiem, że pani Śliz z synem i córką Heleną płynęli do osiedla w Ugandzie (Afryka) i pisano mi, że Hela w drodze zmarła (1943 r.). Byliśmy w kontakcie z Tadeuszem Oleśkowem, który osiedlił się w Anglii. Przypadkowo odwiedził nas Kazik Myślicki, gdzieś w latach 70- tych. Mieszkał w USA.

W Toronto straciliśmy wuja Jana Nakonecznego i ciocię Karolinę. Kornel, ich syn, też zmarł - w 1994 r. Moi rodzice, Jan i Honorata Gacowie zmarli. Mama w 1990 r., ojciec w 1992 r. Mój brat Edward zmarł w lipcu 1999 roku.

Szanowny Panie! Podziwiam Pana i życzę Panu dużo sił i zdrowia i dziękuję za wszystko, co wyczytałam w „Czabarówce i Sąsiadach”. Pamiętam pana Marcelego Rasławskiego, który zmarł na Kuliczu w Altajskim Kraju. Jeśli większość Czabarowiaków jest podobna do niego, to nic dziwnego, że się tak trzymacie. Oby większość Polaków była taka jak Wy!

Bóg zapłać za Pana pracę. Ściskam serdecznie dłoń! - Zuzanna Wacyk (Gac).

P.s. Nie będę komentować tych strasznych Waszych przeżyć i cierpień z powodu nieludzkich akcji Banderowców, OUN, i UPA! Zdrowie mi na to nie pozwala!

Władysław Białowąs
Korfantów

Historia figury Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej z Ihrowicy pow. Tarnopol - cz II – ostatnia

Ci, którzy podobnie jak my ocaleli, 25 grudnia starali się wyjechać furmankami lub pójść pieszo do Tarnopola, aby znaleźć jakąś kwaterę i w odpowiednim czasie, po zarejestrowaniu się w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym, wyjechać na Ziemie Odzyskane.

Wszystkich, którym udało się znaleźć kwaterę, rozmieszczano w różnych miejscach bardzo zniszczonego przez front miasta,

niekiedy nawet lokowano nawet kilka kilometrów od siebie. W tych warunkach, bez księdza proboszcza, nie było możliwości, aby zorganizować wspólny wyjazd.

Należy wspomnieć, że nasza rodzina liczyła 6 osób (bez ojca i szwagra, którzy byli na wojnie). Do Tarnopola zajechaliśmy furganką wieczorem 25 grudnia 1944 r. i znaleźliśmy kwaterę przy ul. Korzeniowskiego 11. Z nami jechała do Tarnopola rodzina Kazimierza Biskupskiego (który był na wojnie), tj. jego żona Maria i ich czterech synów. Do naszej kwatery dołączyły jeszcze dwie inne rodziny. W sumie zamieszkało u nas 18 osób w jednym pokoju, a w drugim znajdowały się nasze rzeczy.

Przy piętrowej kamienicy, w której mieszkaliśmy, nie było żadnego zadaszenia, gdzie mogła być umieszczona klacz. Przez parę dni przebywała ona na drugiej ulicy, niedaleko naszej kamienicy, obok małego budynku, pod gołym niebem. Mój brat, 17-letni Jan, oraz jego kolega Stanisław Drzewiecki z naszego wspólnego pokoju (też 17-letni), postanowili nauczyć naszą klacz wychodzenia i schodzenia po schodach z piwnicy naszego budynku. Nauka trwała krótko, bo 3-4 dni, i zakończyła się pozytywnie. W ten sposób klacz była zabezpieczona od zimna i opadów od stycznia do marca 1945 r.

Mieszkaniec Ihrowicy Grzegorz Błaszkievicz, ocalały z pogromu z żoną i dwoma synami, postanowił pozostać w Ihrowicy jeszcze przez dłuższy czas – kilkanaście miesięcy na swoje ryzyko. Tak mu się szczęśliwie powiodło, że w Ihrowicy przez ten czas nie spotkało go żadne zagrożenie ze strony banderowców. Niektórzy mówili, że to dlatego, że miał ukraińskich krewnych, którzy go mogli ochraniać. Był młynarzem i pracował w młynie napędzanym silnikiem Diesla.

Kilka miesięcy po zamordowaniu proboszcza postanowił wejść po kryjomu do zamkniętego kościoła. Interesowało go, czy przedmioty kultu religijnego, jakie znajdowały się tam przed Wigilią 1944 są jeszcze w kościele, a jeśli tak, to w jakim stanie. Po wejściu do kościoła zobaczył, że wiele z tych przedmiotów leży na posadzce i są uszkodzone. Wśród nich była figura Matki Boskiej Nie-

pokalanie Poczętej. Grzegorz ukląkł przy niej, podziękował Matce Boskiej za ocalenie życia i wypowiedział te słowa: „Matko Przenajświętsza, jak będę wyjeżdżać na zachód, to na pewno ciebie tu nie zostawię. Zabiorę ze sobą, abyś nie poniewierała się”. Stwierdził, że figura nie była uszkodzona.

Spełniając swoje przyrzeczenie, po kilku miesiącach, pewnej nocy o godz. 1.00. wraz z synem Franciszkiem (lat 15), wzięli dwa duże worki i ogrodami poszli do kościoła, tak aby nikt ich nie zauważył. Weszli do środka, figurę włożyli do jednego worka, a do drugiego włożyli krzyż misyjny. Zabrali jeszcze nosidła służące do noszenia figury w czasie procesji.

Grzegorz Błaszkievicz, będąc w kościele, zauważył, że mniej już było tu przedmiotów kultu religijnego niż przed kilkoma miesiącami. Wyszli i niezauważeni przez nikogo dotarli do domu. Tu figurkę Matki Boskiej oczyścili z kurzu, owinęli i włożyli do odpowiedniej skrzyni, aby w czasie podróży nie uszkodziła się.

Grzegorz Błaszkievicz wyjechał z rodziną latem 1947 r. z Tarnopola. Po podstawieniu wagonu towarowego przy peronie, skrzynię z figurą umieszczono w wagonie wśród innych skrzyń, worków załadowanych różnymi przedmiotami domowymi – odzieżą, garnkami i innym sprzętem. W wagonie umieszczono jeszcze kilka innych rodzin. Grzegorz Błaszkievicz umieścił na swoim dokumencie przewozowym dwunastoletnią samotną dziewczynę – Michasię Kulik.

W czasie podróży do Polski Grzegorz, jego żona oraz synowie Franciszek i Bronisław przez większość czasu odczuwali strach przed kontrolą. Podczas zbliżaniu się pociągu do granicy lęk obejmował już wszystkich dorosłych, pomimo że nie wszyscy wiedzieli, że w wagonie przewożona jest figura Matki Boskiej.

Gdy pociąg zatrzymał się na granicy, do wagonu weszło kilku sowieckich celników. Po sprawdzeniu dokumentów pytali, co wieziemy w tych workach, skrzyniach i kartonach. Grzegorz, najstarszy wiekiem, z powagą, a jednocześnie z trwogą odpowiedział, że domowe rzeczy – naczynia kuchenne, ubiory, mąkę, kaszę, zboże, narzędzia domowe. Celnicy nie zdecydowali się na kontrolę.

Po kilkunastu dniach wagon, którym jechali, dotarł do stacji kolejowej w Kamieńcu Żąbkowickim na Dolnym Śląsku. Tu na peronie towarowym, gdzie odstawiono wagon do rozładunku, pojawili się najstarsi synowie Grzegorza – Michał i Karol. Michała w 1942 r. zabrano do Niemiec na przymusowe roboty, pracował w młynie w miejscowości Niemodlin na Opolszczyźnie. Karol 19 kwietnia 1944 został zmobilizowany do Ludowego Wojska Polskiego i walczył na froncie. Po zakończeniu działań wojennych w maju 1945 obaj bracia spotkali się na Dolnym Śląsku u znajomych z Ichrowicy, których rodziny przyjechały wcześniej niż Grzegorz Błaszkwicz. Tymi znajomymi byli: Grabicz oraz Tomczyk, którzy mieszkali w Ożarach k. Żąbkowic Śląskich. Przez jakiś czas zatrzymali się u nich. Powiadomili rodziców, gdzie się znajdują i że nie wracają do Ichrowicy, a na przyjazd będą czekać w Kamieńcu Żąbkowickim, bo w tym regionie jest możliwość osiedlenia się. Rodzina Grzegorza osiedliła się Mąkolnie k. Złotego Stoku, pow. Żąbkowice Śl.

Katolicki Urząd Parafialny
w Złotym Stoku

L.p. 473/48.

Niniejszym zaświadcza się, że Pan Grzegorz Błaszkwicz parafianin z Ichrowicy pow. Tarnopol jest w posiadaniu figury Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej/feretro/ i krzyża procesyjnego będących własnością kościoła parafialnego w Ichrowicy dał na przechowanie na czas nieograniczony do kościoła parafialnego w Mąkolnie, pow. Żąbkowice Śląskie, diec. Wrocław, pod warunkiem, że może te przedmioty zabrać z kościoła według własnej decyzji.

Złoty-Stok, 29/XII-1948.



S. R. Paliński

29 grudnia 1948 Grzegorz Błaszkievicz oddał na przechowanie na czas nieokreślony figurę Matki Boskiej, krzyż misyjny oraz nosidła do kościoła filialnego w Mąkolnie, parafia Złoty Stok i zażądał od proboszcza pokwitowania.



Figura Matki Boskiej Niepokalananie Poczętej z Ihrowicy

Mąkolno jest to wieś leżąca na trasie Nysa – Kłodzko, 3 km za Złotym Stokiem w kierunku na Kłodzko, wtopiona w Góry Złote. Wokoło las, okolica bardzo piękna. Tu w kościele pw. Świętej Marii Magdaleny, należącym do parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Złotym Stoku, od 29 grudnia 1948 r. figura znalazła swoje stałe miejsce.

Pierwsza wzmianka o kościele w Mąkolnie pochodzi z 1336 r., obecny wybudowano w 1732, restaurowany w XIX wieku, jest kościołem jednonawowym, murowanym z kamienia i cegły, z półowalnie zakończonym prezbiterium i kwadratową wieżą. Wyposażenie barokowe. Na uwagę zasługują pięknie brzmiące organy. W latach 1985–2000 przeprowadzono prace restauratorskie, między innymi wyremontowano ambonę, ołtarze i zabytkowy konfesjonał. Położono marmurową posadzkę w kościele i zakrystii.

Wspólnota mąkolska liczy około 600 osób (dane z lat 1995–2000), ludność napływowa z różnych stron, część mieszkańców przybyła z Kresów Wschodnich II RP, inni z centralnej Polski.

Po osiedleniu się Grzegorza Błaszkievicza w Mąkolnie w 1947 r. i przekazaniu figury Matki Boskiej z Ihrowicy do tamtejszego kościoła G. Błaszkievicz był przez wiele lat tutejszym kościelnym i „wprowadzał” naszą Matkę Boską w nowe otoczenie, aby objęła w opiekę nowych parafian. Figura MBNP z Ihrowicy

stoi na podeście przy bocznym ołtarzu po lewej stronie ołtarza głównego. W 1977 r. wokół figury zainstalowano oświetlenie elektryczne.

Byłem dwukrotnie w kościele w Mąkolnie i śmiem twierdzić, że niewiele tak pięknych kościołów spotkałem w swoim życiu, zwłaszcza jeśli chodzi o wystrój architektoniczny wnętrza.

Ze względu na to, że wieś Mąkolno leży obok granicy z Czechami, w terenie górzystym, a kościół oddalony jest od trasy przelotowej Nysa – Kłodzko około 1,5 km, niewielu dawnych mieszkańców Ihrowicy i ich potomnych odwiedza swoją Matkę Bożą.

Należy wspomnieć, że z kościoła w Ihrowicy udało się jeszcze przywieźć inne przedmioty kultu religijnego przez tamtejszego kościelnego Ignacego Nakoniecznego, zwanego niekiedy „świętym”. W 1945 r. przywiózł on do ziemi chełmskiej chorągwie, monstrancje, pozłacany kielich. Miał on mniej kłopotów z przygotowaniem i przywiezieniem do Polski tych przedmiotów niż Grzegorz Błaszkievicz. Ale też odczuwał strach i niepewność podczas przekraczania granicy.

Ignacy Nakonieczny po osiedleniu się w Horodysku pow. Chełm, zdeponował wymienione paramenty za pokwitowaniem w kościele parafialnym w Bończy, powiat Krasnystaw. Tu przez wiele lat były zdeponowane do czasu, kiedy w latach 90. XX w. wybudowano nowy kościół w Rakolupach, wsi niedaleko Horodyska, gdzie osiedliło się wiele rodzin z Ihrowicy.

Tadeusz Hołubowicz

Wrocław

Gehenna nauczyciela dyplomowanego Juliana Hołubowicza w latach okupacji

Dzień 30 czerwca 1941 r. zmienił wszystko. Do prywatnego domu Juliana Hołubowicza w Czortkowie wkraczają funkcjonariusze sowieckiego NKWD, dokonując aresztowania i osadzenia go w



Julian Hołubowicz

więzieniu bez postawienia zarzutów i jakichkolwiek wyjaśnień. Trwa już wojna niemiecko-sowiecka rozpoczęta atakiem niemieckim. Julian Hołubowicz relacjonował po wojnie, że część więźniów wymordowano, a z części nieprzesłuchanych i, z jakichś innych nieznanych powodów, pozostałych więźniów tworzą kolumnę pędzonych na wschód, którą historycy nazwą później kolumną marszu śmierci. Idą bez wody i żywności, mrą po drodze. Eskorta NKWD organizuje sobie różne „rozrywki”, jak na przykład: z oddalenia nawołują w różnych ję-

zykach. Część więźniów biegnie w stronę tych głosów. Padają strzały, ludzie giną. Dnia pewnego pod lasem budzą się. Nie ma eskorty. Obawiają się podstępu. Nadjeżdżają żołnierze niemieccy na motocyklach. Mówią, że nieopodal zlikwidowali uciekających enkawudzystów. Zabrali im listy imienne pędzonych więźniów. Jadą dalej wg swoich planów. Kolumnę przejmuje Gestapo i lokuje w utworzonym przyfrontowym lagrze. Lagiernicy mrą w nieludzkich warunkach, jak muchy, bez żywności, podstawowych naczyń itp. Muszą sobie sami zbudować baraki. Raz na dobę przyjeżdża furmanką niemiecki rzekomy kucharz z kotłem jakiejś cieczy, gdzie rzadko można napotkać jakieś warzywko, ironicznie nazywa to zupą i zaczerpując chochlą, leje w co popadnie, na przykład w czapkę, puszkę po konserwie itp., bo naczyń żadnych nie dali. Codziennie rano przyjeżdżają wozami drabiniastymi przymuszeni ukraińscy rolnicy z pobliskich wsi, ładują zwłoki nieżyjących i wywożą w nieznane. Pewnego dnia komendantura lagru ogłasza wizytację przez generała Gestapo. Z tej okazji mogą być zwolnieni mężczyźni po 60 roku życia. W wyznaczonym czasie ustawia się około 20 osób, czekają, w tym gronie Julian Hołubowicz, mający wówczas

45 lat, ale mocno wyczerpany wyglądał na znacznie starszego, lecz za próbę oszukania kula na miejscu, bez wyroku. Nie mając wyboru stał z o wiele starszymi, licząc na łut szczęścia. Obawiał się też zdrady przez kogoś z lagierników, lecz szansa na wyjście z lagru istniała, bo jeśli pozostanie, przeżyje może jeszcze kilka dni. Po dłuższym czasie nadjeżdżają dwie limuzyny. Z pierwszej wysiada generał, starszy wiekiem, typowy Prusak z monoklem na oku, idzie lekko pochylony. Mijając szereg tych więźniów nawet na nich nie spojrzął, machnął szpicrutą, udał się do drzwi komendantury lagru. Z drugiej limuzyny wysiadło dwóch młodych oficerów, adiutantów generała. Lustrują wzrokowo dokładnie cały szereg. Udają się do drzwi, które przed chwilą zamknął za sobą generał. Wkrótce odjeżdżają. Komendantura ogłasza, że wszyscy z tego szeregu otrzymują zaświadczenia o zwolnieniu. Przyfrontowy lagier niemiecki, w którym był przetrzymywany, został w czasie kilku lub kilkunastu dni od uwolnienia w/w grupy około 20 lagierników zlikwidowany przez Niemców.

Julian Hołubowicz wraca do swojej rodziny w Czortkowie. Jest rozpoznany po upływie pewnego czasu, kiedy przemówił. Nastąpił wybuch radości żony i dzieci. W rodzinnych rozważaniach przyczyn aresztowania nie udało się dociec, skoncentrowano się więc na ogólnej tendencji prześladowania, w celu likwidacji, przedwojennej polskiej inteligencji. Julian Hołubowicz w latach szkolnych 1912/1913 i 1913/1914 edukował się w seminarium nauczycielskim męskim w Czortkowie, ale wybuchła I wojna światowa i jako 18-latek musiał stanąć do walki o Polskę. To trwało do 1920 roku, a w tym walki o Lwów z mniejszością ukraińską na Kresach popieraną przez Austrię, bo zaborca kalkulował, że jeśli wygrają Polacy to nie dadzą się ujarzmić, a z mniejszością ukraińską na Kresach sobie poradzą. W roku 1919 toczyły się zacięte walki z całą Ukrainą, która ludnościowo była większa od Polski i miała liczniejszą armię. Nie wchodzę w szczegóły tych zmagania. Po tej wojnie nastąpiła następna z Rosją w 1920 roku. Polska ciągle nie miała wytyczonych granic, musiała o nie zbrojnie walczyć. Wojska rosyjskie pod dowództwem gen. Tuchaczewskiego zbliżały się do

Warszawy, a armia konna S. Budionnego (chyba najliczniejsza konna ówczesnej Europy) oblegała polski Lwów. Nie było czasu na realne sprostanie wielu innym potrzebom, bo znów zawisła nad Polską groźba utraty niepodległości. Dopiero zwycięska bitwa warszawska zakończyła te próby zaborcze sąsiadów. Zwycięstwo Polaków uratowało Europę, bo Niemcy wyczerpane wojną miały otwarte granice i ramiona dla wojsk rosyjskich, Francuzi mogliby zaakceptować taki leninowski nowy świat. Trzeba jasno powiedzieć, że w tamtym czasie poza Polską, Niemcami i Francją trudno jest dopatrzyć się sił zdolnych do przezwyciężenia tych zagrożeń dla Europy Zachodniej. Polska okupiła zwycięstwo ogromnymi stratami w poległych żołnierzach i cywilach, jak na przykład Orlęta Lwowskie itd.



Julian i Maria Hołubowicze z córką Zdzisławą - 1938 r.

Po tym niewielkim szkicu historycznym wróć do kreślenia sylwetki czortkowianina Juliana Hołubowicza, dążącego do spełnienia ciężącego na nim obowiązku, godnego naśladowania przodków pieczętujących się herbem Janina od początku szesnastego wieku, z którym ród Hołubowiczów stawał w szeregach polskich w różnych historycznych potrzebach. Herb ten był herbem rodowym Króla Jana III Sobieskiego. Janina w tamtym czasie było imieniem męskim. Julian Hołubowicz po wszystkich perypetiach wojennych znów w ławce szkolnej seminarium nauczycielskiego w Czortkowie i skończył je w 1921 roku egzami-

nem dojrzałości uprawniającym do czasowego nauczania w szkołach ludowych, tak jak i jego brat Franciszek, starszy o 8 lat, uro-

dzony w 1888 roku. Ich ojciec, Piotr Hołubowicz, wspierał finansowo edukację tylko starszego syna, Franciszka, który w czasie późniejszym wsławił się ratowaniem Żydów. Julian Hołubowicz musiał się utrzymywać z udzielanych korepetycji w czasie całej swojej edukacji od 1912 roku, a poszukując doskonalenia swego kształcenia wyjechał do Lwowa z zamiarem studiów na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. Uczelnia ogłosiła, że na podstawie ustaw sejmowych i władz RP zdolniejsi studenci mogą się ubiegać o eksternistyczne ukończenie pod warunkiem odbycia rocznego kursu kwalifikacyjnego, co było spowodowane brakiem kadr po I wojnie światowej. Wykorzystał tę szansę Julian i w roku 1927 zdał egzamin w Uniwersytecie Warszawskim. Otrzymał tytuł nauczyciela uprawniający do nauczania wychowania fizycznego, wówczas zwanego cielesnym, w seminariach nauczycielskich państwowych i prywatnych.



Wizytacja szkoły w Olkuszu – 1930 r.

Pracował w szkołach w Miechowie, Olkuszu i innych. Po wypadku w pracy przeszedł w stan spoczynku zawodowego. Wrócił na Kresy do Czortkowa.

Nabył różne działki z zabudowaniami. W roku 1938 skierowały do Juliana Hołubowicza ofertę dwa zarządy powiatowe: Związku Legionistów Polskich i Związku Strzeleckiego, sprzedaży budynku mieszkalnego, ich byłej siedziby w Czortkowie za niebagatelną kwotę 13.800 złotych. Za taką sumę można było nabyć dwie wille. Zaciągnął częściowy kredyt bankowy, który spłacił całkowicie, otrzymując na to potwierdzenie banku (w aktach syna Tadeusza

Hołubowicza). Nabywca miał być osobą znaną i szanowaną. Julian Hołubowicz spełniał te wymogi. Budynek był położony w rejonie centralnym miasta: przez szerokość drogi ulicy Pierackiego: koszary KOP. Po jednej ze stron posesji sad graniczył z pięknym domem oficerskim, a w pewnej części – główna ulica miasta – A. Mickiewicza i sąsiedztwo z największym budynkiem miasta: siedzibą Sądu Grodzkiego i siedzibą dowództwa KOP. Na terenie koszar KOP-u mały domek, w którym parę lat mieszkał dowódca KOP płk. Stefan Rowecki „Grot”, jeden z najlepszych oficerów Europy tamtych lat. Julian Hołubowicz znał się z nim osobiście jako nauczyciel WF i sąsiad.

Warte skróconej relacji jest zbywanie pałacyku koło Czortkowa przez Cecylię i Michała Żółkiewskich mieszkających w swoim pałacu we Lwowie. Tę nieruchomość zamierzał nabyć Julian Hołubowicz, wpłacając zaliczkę 4.800 zł. Żółkiewski zaliczkę wziął, ale tę nieruchomość sprzedał innemu nabywcy. Julian Hołubowicz zgłosił to prokuratorowi. Doszło do konfrontacji, gdzie M. Żółkiewski mówił, że prof. Julian Hołubowicz straszył bronią, żądając zwrotu zaliczki, Na pytanie jaką bronią był straszony, nie umiał odpowiedzieć, ale twierdził, iż wyczuł, że Julian miał pod pachą pistolet. Wiedział widocznie, że Julian miał pozwolenie na broń. Prokurator w Czortkowie wskazał jako właściwy do rozpatrzenia sprawy – proces cywilny. W 1939 roku Sąd Okręgowy we Lwowie orzekł obowiązek zapłaty przez Żółkiewskich na rzecz Juliana Hołubowicza kwoty 6.800 zł., ale wybuch II wojny światowej uniemożliwił egzekucję komorniczą. Powiadomienie komornika sądowego lwowskiego o wszczęciu egzekucji przeciwko Żółkiewskim doręczono wierzycielowi Julianowi Hołubowiczowi w dniu 9. sierpnia 1939 roku. Nikt nie przewidział wybuchu wojny, która jak wiadomo, rozpoczęła się 1 września atakiem Niemiec na Polskę, Dług nie był nigdy uregulowany przez dłużnika, małżonków Cecylii i Michała Żółkiewskich.

Julian Hołubowicz, według znanych praktyk NKWD, nigdy nie był zwolniony z więzienia. Był więc zagrożony aresztowaniem po wkroczeniu ponownym sowieckich wojsk na Kresy w 1944 ro-

ku. Musiał szybko opuszczać Czortków, póki jeszcze nie wykryło go sowieckie NKWD. Ciężki stan zdrowia starszego pokolenia nie pozwalał wyjechać całej rodzinie mieszkającej wówczas razem. Liczono na poprawę zdrowia, lecz nikt nie przewidział zamknięcia granic, co jak wiadomo nastąpiło po 1945 roku, a Polacy jeśli nie wyjechali, zostali pozbawieni możliwości wyjazdu do Polski. Nie można było bez zezwolenia władz sowieckich pojechać nawet do sąsiedniego miasta, a coś dopiero za granicę. Nie wolno było nawet swobodnie korespondować, wszystko było cenzurowane, a kto tych nakazów nie respektował, podlegał różnym represjom z wywózką na Syberię włącznie. Z Polski listy docierały. A Julian Hołubowicz, wysyłając dokumenty na wyjazd rodziny do Polski, nawet nie mógł być powiadomiony o przyczynach braku możliwości.

Тюрьма в Чорткове (наименование органа)

Форма № 2

Квитанция № 090

Принято согласно протокола № 1041 от 30 июня 1941 г.

по делу гр-на J. Hołubowicz

НАИМЕНОВАНИЕ ЦЕННОСТЕЙ	Счет	Количество		Итого в проходе ценные бумаги в номинале	ПРИМЕЧАНИЕ
		Кгр.	Гр.		
Денежные средства		16	12	16 руб. 12 коп.	
Итого					

Бухгалтер

Kwit Tiurmy w Czortkowie przyjęcia depozytu od aresztowanego J. Hołubowicza z 30 czerwca 1941 roku.

Znane są mnie, Tadeuszowi Hołubowiczowi, osobiście przypadki, że ubiegający się Polacy „wyjeżdżali”, ale nocami transportem NKWD w odwrotną stronę. Odwiedzał nas czasami Polak, znający parę języków obcych, zatrudniany przez władze jako tłumacz, mówił, że on otrzymał też tzw. zaproszenie na wyjazd, lecz nie radzi z tego korzystać. Dopiero po zgonie J. Stalina uznał realną możliwość ubiegania się o wyjazd, co zresztą zostało zrealizowane w latach pięćdziesiątych. Kiedy

słyszcy się o zakazach stosowanych wobec Sybiraków, to na Kresach przedwojennych, po II Wojnie Światowej, był ten rygor stosowany wobec Polaków tam, można śmiało powiedzieć, uwięzionych. Julian Hołubowicz, po tak tragicznych przeżyciach, nie podjął pracy w szkolnictwie PRL po wojnie w Polsce, bo widział niebezpieczne dla niego następstwa, a w tym ingerencje polityczne, w których „nie matura, lecz tzw. ochota politycznie szczerą” dawała kwalifikacje nauczycielskie. Odszedł, na wieczną wartę śp. Julian (mój, autora tych wspomnień, ojciec) w 1981 roku w wieku 85 lat, do 86 zabrakło 3 miesięcy.

Do końca życia Julian Hołubowicz uważał, że cudem ocalał wychodząc z wyżej opisanych dwóch okrutnych opresji. Na terenach polskich Kresów południowo - wschodnich Polacy przeżyli parę lub kilka wojen w czasie tej jednej drugiej wojny światowej, gdyż w tym: liczne wywózki na Syberię, masowe mordowania bestialskie przez bandy ukraińskich nacjonalistów, działania tzw. V kolumny hitlerowskiej złożonej z mniejszości narodowej niemieckiej zamieszkałej od kilku pokoleń na polskich Kresach, łapanie na ulicach dla wywózek na roboty przymusowe do Niemiec. itd.

Ja, Tadeusz Hołubowicz, syn Juliana Hołubowicza, urodziłem się 18 kwietnia 1939 roku w Czortkowie: jestem magistrem filologii polskiej, absolwentem trzyletnich uniwersyteckich studiów kulturoznawstwa, podyplomowych studiów prawniczych, studiów organizacji i zarządzania. Niegdyś, byłem pilotem wycieczek zagranicznych, uprawiałem różne dyscypliny sportowe: piłka nożna, siatkówka, koszykówka, lekkoatletyka, krótko boks. Założyłem w roku 2006 dwa stowarzyszenia literackie, w 2006 roku własne czasopismo, byłem i jestem jego wydawcą i redaktorem naczelnym. Od 1968 –w dziennikarstwie, publikując różne artykuły w różnych gazetach. Obecnie pełnię funkcję przewodniczącego Sądu Dziennikarskiego w Stowarzyszeniu Dziennikarzy. Jestem poetą i pisarzem itd. Nie sposób wymienić wszystkiego. Łączę serdeczne pozdrowienia dla redakcji i czytelników „Głosów Podolan”, w szczególności zaś dla moich czortowskich krajan.

Jerzy Miller
Poznań

Traktat ryski z 18 marca 1921

Początek dramatu - „początek końca kresowej cywilizacji”

Cz.I

Od redakcji: bardzo mało mówi się o tym że odzyskanie przez Polskę niepodległości podzieliło nasze Podole na dwie części wschodnią i zachodnią. Uznaliśmy że wśród artykułów wspomnieniowych warto poruszyć także ten temat. Wszakże na mocy jego postanowień na terenie ZSRR pozostało 1,5 miliona Polaków, z czego większość właśnie na Podolu wschodnim.

1. Wprowadzenie

102 lata temu, 18 marca 1921 roku podpisano traktat ryski pomiędzy Polską a Rosją bolszewicką. Po upływie wieku – czasu, w którym Polska doświadczyła wielu dramatycznych wydarzeń, także w kontekście tzw. porządku wersalsko-ryskiego, warto dziś skreślić nie tylko rocznicową refleksję.

Patrząc na dorobek polskiej historiografii dotyczącej traktatu ryskiego i jego skutków, to można stwierdzić, że praktycznie od lat 90 XX w. na ogół przemilczano tragiczne losy ludności polskiej (a także ukraińskiej i białoruskiej) przedzielonych granicą "ryską". Po okresie międzywojennym, w czasach PRL-u specjalnie nie poruszano problemu kolektywizacji, sowietyzacji, głodu na Ukrainie, deportacji czy masowych represji w latach 1937-1938.

W latach 90-pojawiają się publikacje między innymi Wojciecha Lizaka¹, Janusza Kasprzaka², M. Iwanowa³. W tychże publikacjach Traktat ryski z wojną polsko-bolszewicką jest cezurą chronologiczną wyznaczającą późniejsze tragiczne wydarzenia dla milionów ludności polskiej w ZSRR.

¹ Lizak W., Rozstrzelana Polonia - Polacy w ZSRR, Szczecin 1990.

² Kasprzak J., Polacy na Ukrainie i w latach 1921-1939, Wrocław 1994.

³ Iwanow M., pierwszy naród Ukrainy - Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939.

Zdawało się, iż zorganizowana sesja naukowa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w dniach 28-29 marca 1996, gdzie starano się przedstawić genezę i skutki traktatu ryskiego, stanie się przełomem. Niestety ta „sesja” nie rozpoczęła większego zainteresowania problematyką pokoju ryskiego. Dobrze, że plon sesji na UMK został opublikowany w Studiach UMK pod. red. Mieczysława Wojciechowskiego „Traktat ryski 1921, po 75 latach”⁴. Wobec dużych luk w polskiej historiografii związanych z wojną polsko-bolszewicką traktatem ryskim, ważne by te wydarzenia znalazły się godne odbicie w literaturze polskiej⁵.

Lektura świetnych „Nadberezyńców” Floriana Czarnyszewicza oraz wielu innych pisarzy, ukazuje sytuację ludności polskiej zamieszkałej nad Berezyną, Zbruczem tzw. „za ryską granicą”. Granica ta była końcem marzeń o powrocie do Polski i jak zaznaczyłem w tytule eseju „początkiem końca cywilizacji kresowej”. Ciekawym przykładem publikacji o kresach jest wydana w 2020 r. książka Tadeusza Gawlina rodem z Grodna "Polskość wyjęta spod prawa"⁶. Uważam że jest to istotne opracowanie, gdyż jest opisem nie tylko czasów po traktacie ryskim odcinającym od II RP większość dawnych ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego, lecz doprowadzenia do pogorszenia sytuacji Polaków na tych ziemiach po czasy współczesne. Jeśli celem rosyjskiego okupanta była fizyczna likwidacja polskości, odebranie zbiorowej tożsamości, to zachowanie do dziś elementów wspólnoty polskiej na Białorusi zakrawa na smutny cud.

2. Traktat ryski – postanowienia

102 lata temu 18 marca 1921 r. podpisano traktat pokojowy w Rydze będący zakończeniem wojny między Polską a Rosją bolszewicką. Podpisanie traktatu w Rydze stało się możliwe dzięki

⁴ Traktat ryski 1921 roku po 75 latach. Studia pod red. Mieczysława Wojciechowskiego, wyd. UMK - Toruń 1998.

⁵ Urbanowski M., Rok 1920 w literaturze polskiej, Zarys monograficzny. IPN 2020.

⁶ Gawlin T., "Polskość" wyjęta spod prawa, polska mniejszość na Białorusi 1919-2017. Studium Europy Wschodniej UW 2020.

wielkim zwycięstwom wojsk polskich pod Warszawą, w operacji niemeńskiej oraz w setkach bitew pozwalających na opanowanie wschodnich obszarów dawnej I RP.

Rozmowy pokojowe w Rydze toczyły się od 21 września 1920 r. do 12 października, gdy podpisano rozejm, a działania wojenne zostały przerwane na wszystkich frontach 18 października 1920 r. W tym czasie większość opinii publicznej w Polsce uważała, że stało się coś nieprawdopodobnego, gdy przegrywający na wszystkich frontach bolszewicy osiągnęli sukces negocjacyjny, a Polska zaprzepaściła dotychczasowe sukcesy militarne. Pomimo wielu zwycięstw nad bolszewikami Polsce nie udało się zrealizować strategicznych celów wojny.

Jak można wywnioskować z dokumentów, tajnych raportów, głównym celem wojny było maksymalne osłabienie Polski, m.in. poprzez rozczłonkowanie jej terytorium, tworząc jak największą liczbę niepodległych Państw. Jednak jak wiemy, koncepcja federalcyjna J. Piłsudskiego po porażce kijowskiej wiosną 1920 r. nie miała szansy powodzenia.

Już wstępne ustalenia rozejmu na początku października 1920 r. były korzystne dla strony bolszewickiej, gdyż przegrywając z kretesem na wszystkich frontach wojny osiągnęła swoje cele negocjacyjne. Strona sowiecka chciała osiągnąć pokój, gdyż miała poważne kłopoty w pokonaniu „białej” opozycji, obcych interwencji, była gotów oddać Polsce Mińsk i część ziem białoruskich.

Można w pewnym stopniu zgodzić się z opinią brytyjskiego historyka Normana Daviesa stwierdzającego: „W kategoriach obiektywnych, trudno mówić o jakimś zwycięstwie. Żaden z celów nieprzyjacielskich stron nie został osiągnięty. Bolszewicy nie wyrwali się z blokady, nie sprowokowali wymarzonej rewolucji europejskiej. [...] Polacy ani nie ustanowili Federacji Kresowej, ani nie odbudowali państwa od morza do morza. Efektem wojny polsko-bolszewickiej nie był kompromis, ale impas”.

Należy przyznać, iż rokowania ryskie odbywały się w czasie zaciętej walki politycznej. Po okresie zagrożenia suwerenności, latem 1920 r. rozpoczęła się „na całego” bezpardonowa walka

wszystkich ze wszystkimi. Na pewno brak stabilizacji politycznej w Polsce wpłynął na klimat ryskich negocjacji. Wielomiesięczne debaty konstytucyjne, które doprowadziły do uchwalenia konstytucji 17 marca 1921 r, nie sprzyjały rokowaniom w Rydze, czy stabilizacji plebiscytu na Górnym Śląsku. Nie do końca jest wyjaśniona rola Francji i wielkiej Brytanii w finalizowaniu rokowań w Rydze. Daniel Charlword jednoznacznie stwierdza „wreszcie pod presją Wielkiej Brytanii i Francji Polska zgodziła się na rozejm, odzyskując niemal wszystkie tereny poprzednio utracone”⁷.

Asekuracyjna, często nieprzyjazna polityka szczególnie Wielkiej Brytanii zaważyła na szeregu niekorzystnych rozwiązań w ramach porządku wersalsko-ryskiego.

Największe zastanowienia związane z techniką negocjacji można kierować w stronę kompetencji, sprawności negocjacyjnej polskiej delegacji na rokowania pokojowe na czele z Janem Dębskim wywodzącym się z Witosowego „Piasta”. Najbardziej wpływowymi członkami delegacji byli Stanisław Grabski z Narodowej Demokracji, Norbert Barlicki z PPS oraz Leon Wasielewski - człowiek komendanta Piłsudskiego.

Wielkim błędem politycznym była konstrukcja delegacji z reprezentantów różnych stronnictw i idei politycznych, uzupełnionych ekspertami.

Delegacja polska była często w swoich stanowiskach nie-spójna, co przy szerokich uprawnieniach, a z drugiej strony i nie-kompetencji przewodniczącego Dębskiego nie zdołała osiągnąć najbardziej strategicznego celu, jakim było jak najbardziej korzystne ustalenie linii granicznej.

Delegacja radziecka na czele z doświadczonym dyplomatą Adolfem Joffe i licznymi doradcami wykorzystała wszystkie słabości i rozbieżności w łonie polskiej delegacji, mówiąc potocznym językiem delegacja radziecka „ograła” stronę polską.

Najbardziej kontrowersyjną osobą w polskiej delegacji był Stanisław Grabski (brat premiera Władysława Grabskiego), który

⁷ Charlword D., Rok 1920. Świat po wielkiej wojnie, Bellona 2013.

zdołał przeciągnąć na swoją stronę większość delegacji np. w sprawie rezygnacji z Mińskowszczyzny i Mińska. S. Grabski uważał, że Polska nie może brać więcej ziemi, niż mogła strawić w trybie procesów asymilacyjnych. W polskiej grupie negocjacyjnej zaczęły przeważać obawy, iż wchłonięcie zbyt dużej liczby ludności niepolskiej będzie utrudniać integrację terytorialną odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Pod koniec rokowań Moskwa, po rozprawieniu się z „białym” gen. Wranglem, miała mocniejszą pozycję, jednak musiała walczyć z wieloma problemami. Polska strona nie wykorzystała strategicznej słabości Rosji Sowieckiej do szybkiego zawarcia Traktatu.

Nie wiem, czy były obecne pojawiające się opinie wśród niektórych członków polskiej delegacji, że „nie warto niepotrzebnie drażnić Moskwy”. Takie niestety stwierdzenia, opinie pojawiają się współcześnie w niektórych ugrupowaniach politycznych III Rzeczypospolitej.

Ostatecznie pokój kończący wojnę między Polską a Rosją bolszewicką (formalnie między Rzeczpospolitą a Białoruską i Ukraińską Republiką Sowiecką) został zawarty - podpisany 18 marca 1921 roku w stolicy Łotwy Rydze. Traktat zawierający 26 artykułów między innymi:

- ustalił granice między Polską a Rosją Sowiecką,
- zakazywał stronom ingerencje w sprawy wewnętrzne państw,
- sygnatariusze mieli wzajemnie przestrzegać praw mniejszości,
- zrzekano się wzajemnie zwrotu kosztów wojennych za wyjątkiem tego że Moskwa wypłaciła Polsce 30 mln rubli w złocie, z tytułu udziału ziem polskich w życiu gospodarczym carskiej Rosji i 24 mln rubli w złocie za szerokotorowy tabor kolejowy,
- postanowiono też o zwrocie przywłaszczonych przez carską Rosję bibliotek, archiwum, pamiątek historycznych,
- przyznano również wzajemne prawo opcji, co oznaczało, że wszystkie osoby polskiej narodowości i polskiego pochodzenia znalazły się po drugiej stronie granicy ryskiej, mogły wrócić lub się przesiedlić.

Jednak najważniejszym ustaleniem traktatu było wyznaczenie wspólnej granicy na linii Dżisna-Słucz-Ostróg-Zbrucz. Z uwagi na pojawiające się negatywne, kontrowersyjne oceny ustaleń granicy ustanowionej w Rydze, starano się na wiele sposobów przedstawić „granice ryską” w pozytywny, ujmujący sposób. W przedwojennym podręczniku historii do kl. VI znajdujemy ciekawy zapis wschodniej granicy Rzeczypospolitej: „Jar Zbrucza wżarł się głęboko w płytę podolską i towarzyszy granicy polskiej aż prawie do źródeł tej rzeki. Za nią na wschodzie, reszta tej samej płyty tak samo pociętej równoległymi jarami dopływów Dniestru i tak samo bezleśny. Dopiero na północnych krańcach płyty zjawiają się lasy. Tam w okolicy Krzemieńca i Ostroga przecinamy dwa razy Horyń potem raz Słucz [...]. Na północ kraj znów się podnosi i porasta sosną. Przechodzimy przez źródłiska Niemna, omijamy obrysowane szuwarami jeziora płyty litewskiej i dochodzimy do Dziwny, północnego krańca naszej długiej wschodniej granicy”⁸. Granica z ZSRR wynosiła 1407 km.

Gdy 18 marca 1921 podpisano Traktat w Rydze, tego samego dnia wieczorem o tym wydarzeniu zakomunikował Wincenty Witos zgromadzonej publiczności w Teatrze Narodowym, która to publiczność przyjęła tę wiadomość długotrwałą owacją.

Niedługo potem z ten "wielki sukces dyplomatyczny" przewodniczący polskiej delegacji w rokowaniach ryskich, otrzymał najwyższe państwowe odznaczenie - Order Orła Białego.

Zatrzymując się na kilku uregulowaniach traktatu ryskiego można jednoznacznie ocenić, iż strona sowiecka łamała od samego początku jego postanowienia. Granica setki razy była naruszana przez prowokacje i działania kryminalne.

Ważny artykuł - VI - który dotyczył repatriacji był notorycznie łamany przez sowiecką stronę. Prof. Stanisław Aleksandrowicz w ramach konferencji naukowej w Toruniu w 1995 zaprezentował referat na temat sytuacji ludności polskiej za ryską granicą. Píše „wobec tej masy ludzi związanych z polskością, a zagrożo-

⁸ Opowiadania z dziejów ojczystych dla klasy VI Szkół Powszechnych, Bari 1946

nych masowymi represjami ze strony bolszewickiej władzy, polscy negocjatorzy traktatu postąpili lekkomyślnie”. Jak zauważa Aleksandrowicz "swoistym" uspokojeniem bardziej wrażliwych sumień członków delegacji miał być następny - siódmy - traktatu "gwarantujący" prawa ludności Polaków w Rosji, Ukrainie Sowieckiej, Białorusi⁹.

Zbyt ogólnikowe postanowienia artykułu VI były z całą bezwzględnością interpretowane przez stronę sowiecką w sprawach spornych praktycznie wykluczając możliwość ochrony przez stronę polską interesów Polaków i kościoła katolickiego w ZSRR.

Zofia Kossak-Szczucka w powieści „Pożoga” a właściwie dokumencie - świadectwie opisała skalę barbarzyńskich mordów i zniszczeń dokonywanych na Wołyniu. Autorka jako jedna z pierwszych w historiografii sowietologicznej zdefiniowała utopię, zbrodniczość bolszewickiego systemu.

Polska do dzisiejszego dnia nie otrzymała w ramach rewindykacji zawartych w art. 1 traktatu zgrabionych skarbów narodowych. Chlubnym wyjątkiem był zwrot arrasów wawelskich - wróciły do Polski, gdyż były w opłakany stan techniczny, często pocięte, rozproszone w wielu miejscach w Rosji. Arrasy zrabowane w dobie konfederacji barskiej i podczas oblężenia Warszawy (listopad 1794). Po 1921 roku Polacy rozpoczęli heroiczne poszukiwania pamiątek narodowych, w tym arrasów. Opłakany stan tkanin spowodował, iż w 1928 roku na Wawelu zorganizowano specjalną pracownię konserwatorską, która dokonała generalnej renowacji 140 odzyskanych płócien.

W marcu 2021 roku na Zamku Królewskim w Warszawie otwarto wystawę arrasów świadczących o świetnych czasach Królestwa Polskiego. Pomimo upływu 100 lat od traktatu ryskiego oraz II Wojny Światowej do Polski nie wróciło wiele pamiątek narodowych. Z okazji setnej rocznicy podpisania traktatu ryskiego, Archiwum Akt Nowych na wystawie zaprezentowało pierwodruki publikacji traktatu ryskiego, a także oryginalną mapę służącą w trakcie

⁹ Traktat ryski 1921 roku po 75 latach, studia pod red. Mieczysława Wojciechowskiego, Toruń 1998, s.212.

rokowań do wyznaczenia granicy polsko-sowieckiej oraz inne cenne archiwalia związane z traktatem. Warto zaznaczyć że, większość tych materiałów archiwalnych jest po raz pierwszy udostępniona szerszej publiczności. Na dziedzińcu AAN eksponowana jest też wystawa plenerowa "Od wojny do pokoju. Traktat ryski 18 marca 1921r.", strona internetowa www.aangov.pl/traktatryski. Warto przypomnieć, że w ramach rewindykacji postanowień traktatu ryskiego wróciło do Polski 31 wagonów kolejowych, znalazły się tam m.in. Archiwum Koronne, część Metryki Koronnej, akta Powstania Kościuszkowskiego, akta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Zwrot powyższych archiwaliów stanowi symboliczną część zrabowanych dóbr kultury narodowej. Dlatego dziś władze, społeczeństwo konsekwentnie i z determinacją winni czynić starania o ich szybki zwrot z Rosji do Rzeczypospolitej wraz ze wszystkimi zrewindykowanymi dziełami w ramach obowiązującego prawa międzynarodowego.



Moment podpisania Traktatu ryskiego

Alicja Kocan
Warszawa

Sentymentalnie o rzece Zbrucz

Graniczna rzeka Zbrucz jest jedną z najbardziej malowniczych rzek na Podolu. Posiada 244 km. długości i jest najdłuższym lewobrzeżnym dopływem Dniestru. Płyńcie jarem, którego skaliste brzegi kryją warstwy alabastru, marmuru i gipsu.

Najbardziej malowniczym odcinkiem i atrakcją krajobrazową jest przełom Zbrucza przez pasmo niewysokich wzgórz Miodoborów, które biegają w poprzek Podola od Podkamienia na północnej krawędzi aż po Kamieniec Podolski. Tam też budowano zamki obronne przed najezdami tureckimi i tatarskimi pustoszącymi te ziemie. Z wyniosłego grzbietu Miodoborów, przez który prowadzi droga stepowa, ocieniona stuletnimi dębami zwana „Szlakiem tatarskim”, roztacza się wspaniały widok. Można tam spotkać bardzo rzadkie rośliny, jako resztki wschodnioeuropejskiej flory stepowej. Góry Miodobory stanowią unikatowy pomnik przyrody nieożywionej, są pozostałością rafy koralowej, która powstała w wodach ciepłego Morza Sarmackiego. Są tu wapienne skały osadowe, zbudowane ze szkieletów koralu i muszli fauny morskiej. Skaliste szczyty wzgórz to dawne wierzchołki raf. Miodobory należą do najpiękniejszych okolic wschodniej Galicji.

Urodą wyróżniają się jary Zbrucza. Najważniejszą miejscowością nad górnym Zbruczem są Podwołoczyska. Wędrówki wzdłuż Zbrucza dostarczają niezwyklej wrażeń i należą do najbardziej godnych polecenia tras pieszych.

W okresie zaborów Zbrucz na całej swojej długości stanowił granicę pomiędzy Austrią i Rosją, a w okresie międzywojennym, pomiędzy Polską a ZSRR. Na prawym brzegu rzeki zachowała się dawna droga graniczna wykorzystywana przez polskie patrole Korpusu Ochrony Pogranicza. Na tym odcinku prąd rzeki jest bystry, w korycie zalegają liczne głazy i pnie drzew. Stoki wzgórz są porożci-

nane wąwozami, z których płyną niewielkie strumienie wpadające do Zbrucza.

Byli mieszkańcy tych rejonów często wspominają czasy świetności prawdziwego młodzieńczego życia. Obozy harcerskie, kąpiele w Zbruczu oraz wędrówki piesze atrakcyjnymi trasami wzdłuż wąwozów i jarów podolskich. Malownicze Podole to rodzinne ziemie wielu poetów i pisarzy.

W Podwołoczyskach urodziła się i spędziła młodość Lidia Winniczuk (ur. w 1905 roku), wybitna filolog klasyczna, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, która swoje wspomnienia z tamtego okresu opisała w książce „Nad Zbruczem, Stryjem, Wisłą”. Dzieciństwo jej przypada na czas zaborów, początek nauki szkolnej na lata pierwszej wojny światowej, gimnazjum kończy już w niepodległej Polsce. Wspomnienia wiążą się z wydarzeniami w dziejach narodu przełomowymi i dramatycznymi. Autorka skupia przede wszystkim uwagę na rodzinie i szkole, wiele miejsca poświęca profesorom uniwersyteckim i kolegom. Plastycznie przedstawia szczegóły życia i losy polskiej inteligencji.



Tak się złożyło, że miałam okazję poznać panią profesor. Podczas naszego spotkania dowiedziałam się, że ciotka pani profesor, Leokadia Winniczuk, po ukończeniu konserwatorium we Lwowie była nauczycielką muzyki w Stryju. Ułożyła wale koncertowe na fortepian pt. „Wspomnienia znad Zbrucza”. Utwór ten przeszedł przez recenzję konserwatorium we Lwowie i uznano go za godny wydania. Jeden jedyny egzemplarz przetrwał wszystkie wojny. Prawdopodobnie został

wydany przed 1914 rokiem. Witold Rudziński artysta czasu jesieni, wybitny kompozytor i pedagog, wykładowca m. in. w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie w 1990 roku zorganizował

wał spotkanie poświęcone Kresom. Gościem honorowym tego wieczoru była pani profesor Lidia Winniczuk. Każdy z zaproszonych gości opowiadał o swoim barwnym życiu spędzonym na Kresach, a potem walce koncertowe „Wspomnienia znad Zbrucza” zagrała na fortepianie pianistka Barbara Topolnicka. Nuty pani profesor przekazała do zbiorów Akademii Muzycznej. Podczas spotkania udało mi się nagrać ten utwór na kasecie magnetofonowej, którą przechowuję w szufladzie wspomnień. Słuchając tego utworu przypominają się rodzinne historie. Czasy świetności prawdziwego życia, które były ostoją tradycji i kultury. Rzeka Zbrucz na Podolu wciąż fascynuje ze względu na „egzotyczny” krajobraz.



Ale tamtego życia już nie ma. Ocalało tylko wspomnienie o nim, uwiecznione na starych fotografiach. Mieszkańcy na kresowych włościach spoglądają na nas milcząco z portretów. Lata były burzliwe, ale pozostały

wspomnienia ludzi, których zdjęcia przesuwają się jak obrazy w kamerze telewizyjnej, a nazwiska należą już do historii. Choć upłynęło tyle lat, wciąż uczymy się z doświadczeń poprzednich pokoleń. Nasi przodkowie spisywali swoje wspomnienia, a my z kart tych wspomnień możemy poznać stare dzieje.

Historyczna rzeka Zbrucz stała się sentymentalnym wspomnieniem tamtych lat.

dr Maria Ciesielska

Podłanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. V – dr Wojciech Lachowicz

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl



Dr Wojciech Lachowicz pracował jako lekarz ogólny i szkolny w Jagielnicy i Czortkowie (dziś na Ukrainie). Sprawował równocześnie funkcję burmistrza Czortkowa¹⁰, później wójta Jagielnicy. Od 1938 r. był senatorem RP V kadencji jako przedstawiciel Obozu Zjednoczenia Narodowego. Po wkroczeniu Rosjan został aresztowany, ale wskutek próśb miejscowej ludności wkrótce uwolniony.

W czerwcu 1941 r. w Jagielnicy zatrzymał się pociąg wiozący węgierskich Żydów do obozu pracy przymusowej w Kamieńcu Podolskim. Wśród nich znajdował się dr Ignatz Josipovitz z żoną i dwojgiem dzieci. Dr Josipovitz opiekował się wszystkimi chorymi w wagonie, leczył także ukraińskich strażników. Kiedy dr Lachowicz dowiedział się, że w pociągu znajduje się lekarz, który usiłuje pomóc chorym, pospieszył mu z pomocą. Nawiązał kontakt z ukraińskim dowódcą i skłonił go, aby uwolnił dr Josipovitza z rodziną i pozwolił mu pozostać w Jagielnicy. Dr Josipovitz otrzymał nieoficjalne pozwolenie na pobyt i leczenie chorych w miejscowości.

Dr Lachowicz przyjął rodzinę Josipovitzów do siebie, troszczył się o nich i wspomagał. „Nasz przyjaciel chrześcijanin ochraniał nas jak własne dzieci. Mielśmy również sposobność przekonać

¹⁰ Burmistrz Czortkowa od lutego 1939 r. do wkroczenia Sowietów we wrześniu 1939 r. – przyp. red.

się, że głęboko współczuł ludności żydowskiej i czynił wszystko, co mógł, by nieść jej pomoc” – relacjonował Josipovitz. W lecie 1942 r. dr Lachowicz uzyskał dla Josipovitzów pozwolenie na powrót na Węgry, gdzie przeżyli i doczekali wyzwolenia. Z węgierskiego transportu do Kamieńca nie przeżył nikt.

1 września 1943 r. dr Lachowicz został wyprowadzony ze swojego domu przez ukraińską bandę i zamordowany (według innej wersji został zabity przez Niemców).

Od redakcji: Dr Lachowicz tytuł „Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata” otrzymał pośmiertnie w 1978 roku.

dr Natalia Aleksium

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata”

Cz. VI – Rodzina Stankiewiczów

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl



Mikołaj i Maria Stankiewiczowie wraz z trójką nastoletnich dzieci: Anną, Piotrem (na fotografii obok) i Stanisławem prowadzili gospodarstwo we wsi Muszkatówka, powiat Borszczów, w dawnym województwie tarnopolskim. W czasie okupacji niemieckiej ich dzieci nosiły do lasu żywność ukrywającym się tam Żydom, latem 1943 r. udzielili schronienia rodzinie Rosenwaldów, których następnie ukrywali przez rok w swoim gospodarstwie.

Przed wybuchem

wojny, Abram (Munio?) i Lotka Rosenwaldowie mieszkali w Borszczowie, gdzie Abram handlował końmi. W ten sposób nawiązał znajomość z Mikołajem Stankiewiczem. W kwietniu 1942 r. Rosenwaldowie wraz z pięciorgiem dzieci: Zosią, Mirą, Andzię, Dawidem i Owadią zostali przez Niemców przesiedleni do miejscowego getta. Uciekli stamtąd podczas „akcji” w czerwcu 1943 r., kiedy 1800 pozostałych przy życiu Żydów zostało rozstrzelanych na miejscowym żydowskim cmentarzu. Początkowo rodzina ukrywała się za opłatą u znajomego Ukraińca, który jednak po kilkudniowym pobycie poprosił ich o opuszczenie swego domostwa. Wtedy Abram zwrócił się z prośbą o pomoc do Mikołaja Stankiewicza.

„Mama bała się, wiem, mówiła, daj spokój, bo ty chowasz, mówiła, nas na śmierć szykujesz, do ojca. A ojciec się tłumaczył: Ja wiem o tym, mówi, trudno się nazywa, a ty, mówi, do kościoła co dnia, mówi, chodzisz, a nie przyjmiesz, mówi, nie dasz im kawałka chleba” – wspomina Piotr Stankiewicz w wywiadzie dla Muzeum Historii Żydów Polskich.

Stankiewiczowie przygotowali dla rodziny Rosenwaldów dwie kryjówki, które co tydzień lub dwa były dla bezpieczeństwa zmieniane: pomiędzy ścianami strychu i pod podłogą sieczkarni. Piotr przynosił im jedzenie ukryte w wiadrze. Stankiewiczze dzielili się z Rosenwaldami nie tylko jedzeniem, ale również dostępnymi książkami. W trakcie rocznego pobytu Dawid i Owadia Rosenwaldowie tylko raz opuścili kryjówkę, by pochować zmarłą na serce matkę. Ślad płytkiego grobu stał się powodem do sąsiedzkiego donosu, a obejście Stankiewiczów zostało przeszukane, ale bez skutku.

Abram i pięcioro jego dzieci przebywali u Stankiewiczów aż do wyzwolenia tych terenów w lipcu 1944 r. Niedługo potem wyjechali do Polski, a stamtąd do Stanów Zjednoczonych. Również rodzina Stankiewiczów, po śmierci Mikołaja, zamordowanego prawdopodobnie w odwecie za ukrywanie Żydów, przeniosła się najpierw pod Jelenią Górę, a następnie do wsi Lipiany, w województwie zachodniopomorskim. Już po śmierci Marii, Mikołaja,

Anny i Stanisława kontakt odnowił się i Piotr odwiedził rodzinę Rosenwaldów w USA.

Od redakcji: Rodzina Stankiewiczów, tj. Rodzice Mikołaj i Maria, oraz ich dzieci Anna, Piotr i Stanisław, tytuł i medal „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata” otrzymali w 1989 roku.

Jerzy Miller
Poznań

Zapomniani pisarze z Podola **Cz. VII – Antoni Wacyk (1905-2000)**



Antoni Wacyk, pseudonim Gniewomir (ur. 25 listopada 1905 w Kuryłówce Murowanej na Podolu zazbruczańskim, zm. 25 sierpnia 2000 we Wrocławiu) pisarz i publicysta.

W latach 1918-1920 był harcerzem i uczniem Polskiego Gimnazjum Społecznego w Kamieńcu Podolskim. W 1932 roku ukończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po przeprowadzeniu się do Warszawy pracował jako urzędnik w Ministerstwie Poczty i Telegrafów. W pierwszej połowie lat 30. był członkiem lwowskiego koła Związku Akademickiego Młodzież Wszechpolska. W 1937 został redaktorem pisma „Zadruga”. W swoich pracach podważał i negował zasługi Kościoła w Polsce oraz twierdził, że kler i katolicyzm był główną przyczyną upadku i rozbiorów Polski.

We wrześniu 1939 r. ewakuowany wraz z personelem Ministerstwa Poczty i Telegrafów (PiT), 17 IX udał się do Rumunii. Dotarł do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii, gdzie służył w Polskich Siłach Zbrojnych. W 1944 w Szkocji wydał biuletyn „Goreją Wici”, propagujący idee zadrużne, które promowały neopoganizm i powrót do wierzeń Słowian, nacjonalizm, lecz odrzucały szowinizm i podkreślały, że społeczeństwo powinno być bezklasowe.

W 1946 wrócił do kraju, od 1948 mieszkał we Wrocławiu. W 1956 roku według niepewnych informacji stanął na czele nieformalnego Stowarzyszenia Intelktualnego „Zadruga”. Po zniesieniu cenzury na nowo podjął się pisarstwa. W 1990 rozpoczął współpracę z kierowanym przez Zdzisława Słowińskiego wrocławskim Wydawnictwem Toporzeł. Opublikował tam broszury wyjaśniające poglądy zadrużne. Brał też udział w opracowaniu nowych wydań prac Jana Stachniuka, jakie wyszły w tym wydawnictwie.

W książce „Moja Słowiańska Wolność” dedykowanej Antoniemu Wacykowi autor określa go najbardziej polskim Polakiem. Określenie to, moim zdaniem w świetle jego kontrowersyjnej publicystyki, pisarstwa i działalności, traci współcześnie, gdy staramy się dbać o prawdę historyczną i obiektywnie przedstawić dzieje naszej ojczyzny.

Igor Megger

Poznań

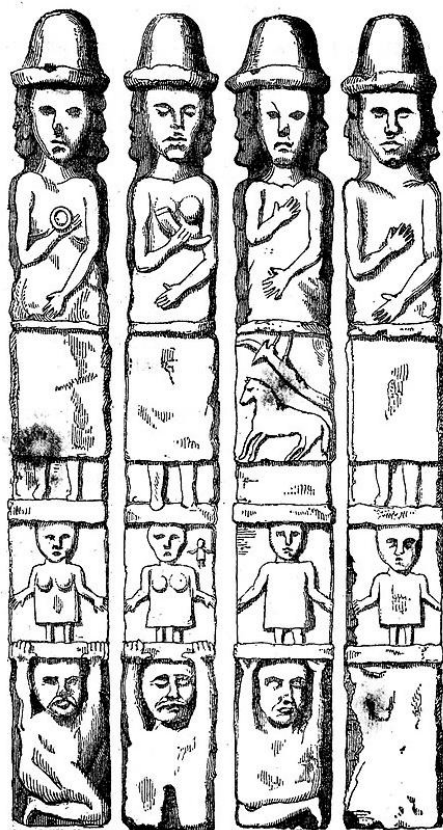
Tajemnice Światowida ze Zbrucza *osobliwości Podola*



Figurę – tzw. obelisk Światowida zna każdy, kto choć trochę interesuje się wczesną historią Polski. Jest to w dużym skrócie mówiąc obelisk przedstawiający głowę w kapeluszu o czterech twarzach, z wizerunkami różnych postaci i zwierząt na znajdujących się niżej segmentach. Obelisk – zwany także „idolem” lub „bałwanem” (tj. wyobrażenie pogańskiego bóstwa) znaleziony został w 1848 roku w rzece Zbrucz na wysokości wsi Liczkowce k. Husiatynia (pow. Kopyczyńce) przez miejscową ludność w czasie wielkiej suszy. Figura liczy 2,57 metra, przekrój 29 na 30 cm, waży około

pół tony i wykonana jest z wapienia. Obecnie znajduje się w Muzeum Archeologicznym w Krakowie.

Najbardziej rozpowszechniona wersja datuje obelisk na XI wiek i określa, że przedstawia on słowiańskie bóstwo o czterech twarzach – Światowida. Według badań przeprowadzonych przez radzieckich archeologów w latach 80. XX w. pierwotnie pokryty był czerwoną farbą, a znajdował się na znajdującej się nieopodal górze Bohod (Bogit), gdzie odkryto krąg kamienny z ośmioma ogniskami i cokół na figurę.



Światowid b. kłodzki, roku 1848 ze Zbrucza wydobyty.

Jednakże, prócz miejsca znalezienia, w powyższych stwierdzeniach nie ma nic pewnego. Po pierwsze nie mamy pewności, jakie dokładnie bóstwo przedstawia. Nazwę Światowid (właściwie powinien być Świętowit) nadał mu historyk Joachim Lelewel (1786-1861). Przyjął to na podstawie czterech twarzy będących na obelisku z każdej strony – tak, jak u mitycznego Światowida. Problem jest w tym, iż Światowid był wierzeniem Słowian połabskich, którzy zamieszkiwali tereny północno-wschodnie obecnych Niemiec – a więc gdzież im do Podola! W ogóle nie wiemy, czy idol przedstawia bóstwo słowiańskie – może przedstawiać także bóstwo trackie, ponieważ ich plemio-

na przewijały się przez nasze ziemie, czy też może być bóstwem któregoś z ludów, z którymi walczyli Słowianie np. Waregów, czy Celtów i może być zdobytym na nich łupem wojennym.

Dyskusyjna jest także jego datacja. Jako wytwór słowiański datowany jest na XI wiek (tracki musiałby być jeszcze starszy), a w rzece znaleźć by się musiał w wieku XI lub XII w czasie walk z poganami. Wapień, z którego jest zbudowany, stosunkowo łatwo ulega erozji i jest podatny na wypłukiwanie (czego dowodem są wapienne jary rzek na Podolu). Czy przez 700-800 lat zachowałby się on w takim dobrym stanie w dość wartkiej rzece? Jest to mocno wątpliwe.

Wątpliwości tyczą też miejsca odkrytego w latach 80. XX w., gdzie, według naukowców, w oryginale posąg stał – prócz kręgu znaleziono tam figurkę nieznanego bóstwa, ale dużo bardziej prymitywnie wykonaną.

Pierwsze badania posągu przeprowadzono dopiero w latach 1948-49, a więc 100 lat po jego odnalezieniu. I tu odkryto kolejne zagadki - resztki farby, a nawet ślady używanych narzędzi, według naukowców, nie miałyby prawa przetrwać tyle lat na wapieniu stojącym w wodzie. Brak też na nim śladów muszli, porostów, glonów, które przyklejają się do podobnych znalezisk. Wreszcie brak na nim uszkodzeń mechanicznych, które przecież przez setki lat przebywania w rzece, a dodajmy, że figura w momencie znalezienia stała pionowo, byłyby rzeczą normalną i wielce prawdopodobną.

Być może odpowiedź na powyższe pytania łączą się z postacią poety Tymona Zaborowskiego (1799-1828), który zamieszkiwał wieś Liczkowce i miał zainteresowania historyczne. Według koncepcji badaczy Komara i Chamajko, Zaborowski tworząc jedno ze swych dzieł – „Umwita” dzieło o początkach chrześcijaństwa na Podolu, pragnął uczynić sobie „kącik pogańskiego natchnienia”. Rozkazał wybudować dla siebie w okolicy improwizowaną pogańską świątynię. Biorąc pod uwagę, że w tych czasach bardzo popularny był Światowid o czterech obliczach z Arkony, nakazał on wyrzeźbić dla siebie takiegoż idola. Poeta interesował się historią i mógł określić, jak taki bożek miałby wyglądać. Ponadto, naukowcy

twierdzą, że prawdopodobnie na bokach figury przedstawione są nie dawne bóstwa, lecz bohaterzy utworu. Po ukończeniu dramatu Zaborowski, jako wielki miłośnik teatralnych gestów, mógł rozkazać utopić rzeźbę w Zbruczu. Dramat kończy się triumfem chrześcijaństwa i z punktu widzenia człowieka epoki romantyzmu taki gest był jak najbardziej wymowny.

Nie ma na powyższą koncepcję żadnych dowodów ani wzmianek, lecz biorąc pod uwagę inne zachowania T. Zaborowskiego badacze przyjmują tę wersję za bardzo prawdopodobną - od napisania „Umwity” do odkrycia idola minęło 25 lat – i około tyle lat spoczywał on w wodzie według badaczy. Historycy – zwolennicy teorii „pogańskiej” jego pochodzenia, tłumaczą jego znakomity stan tym, że według nich znajdował się zakopany w ziemi, a ciągle zmieniająca swe koryto podolska rzeka wymyła i odkryła go. Podobno przy wyciąganiu go „odłamano” go od podstawy, która była na dnie – ale nikt nigdy jej już tam nie szukał.

Kolejnym argumentem za jego współczesnym pochodzeniem jest istniejący do dziś w okolicach Liczkowiec pomnik-nagrobek kapitana Michała Zaborowskiego, który zginął w czasie wojen napoleońskich w 1812 roku. Wyraźnie widać zbieżność materiału, jak i wykonania, z odnalezionym w Zbruczu idolem.

Myślę, że prawdy o pochodzeniu i wieku „Idola ze Zbrucza” nie dowiemy się prędko i łatwo, a być może nie dowiemy się jej już nigdy¹¹.

¹¹ Od redakcji: zainteresowanych podobnymi ciekawostkami, na temat rzeczy spotykanych tylko na Podolu informujemy, że w „nienumerowanym” cyklu artykułów „osobliwości Podola” na łamach „Głosów Podolan” dotychczas ukazały się: autorstwa duetu Wiesław Barczyk – Jerzy Stopa: „Wał Trajana” (nr 76/06) „Okniny” (nr 80/07), „Okopy św. Trójcy” (nr 81/07) „Groty Kryształowe w Krzywczu” (83/07), „Płonący krzak Mojżesza” (nr 101/10), „Step Pantalicha” (nr 104/11), oraz autorstwa Wiktora Chmieluka „Tajemnicza Siła” (154/21).

Redakcja

Aktualności z Podola oraz z życia Podolan w kraju

Pan Tadeusz Morawski z Warszawy przesłał do naszej redakcji bardzo obszerny i miły list, z informacją i prośbą, iż poszukuje wiadomości o urodzonym w 1919 roku w Boryczówce pow. Trembowla Ludwiku Rymarzu, uczniu szkoły powszechnej w Husiatynie i wg. jego ankiety personalnej absolwencie czortkowskiego gimnazjum im. Słowackiego w 1937 roku (w tym też roku Czortków opuścił i zamieszkał w Podkowie Leśnej k. Warszawy). Zarówno przed, jak i po wojnie, aktywny działacz warszawskiego harcerstwa, z którym przygodę rozpoczął właśnie w czortkowskim gimnazjum. W latach okupacji więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po wojnie był m.in. Komendantem chorągwi Mazowieckiej oraz Warszawskiej ZHP, oraz zastępcą Naczelnika ZHP. Zmarł w wieku zaledwie 46 lat w 1965 na skutek gruźlicy, na którą zachorował w obozie.

Pan Tadeusz Morawski, jako podopieczny Ludwika Rymarza w harcerstwie, chciałby uratować tę zasłużoną dla warszawskiego harcerstwa postać poprzez opracowanie jego biografii, która także zamieszczona zostałaby na naszych łamach. Szczególnie poszukuje on następujących informacji:

- 1) O jego edukacji szkolnej
- 2) O jego działalności harcerskiej
- 3) Koleżance Ludwika Rymarza w Czortkowie, którą była Irena Olęcka (lub Olędzka) (była w podobnym wieku do Rymarza) – może ktoś z czytelników zna tę osobę.

Osoby mające te lub inne informacje o postaci Ludwika Rymarza, prosimy o kontakt z panem Morawskim, tel: 510-904-434

Pan Józef Fil z Portalu Muzeum Dziedzictwa Kresów Dawnej Rzeczypospolitej w Przemyśle poszukuje informacji o autorze filmu z 1991 roku z ponownego pochówku czortkowskich braci Dominikanów zamordowanych w 1941 roku. Muzeum, które pan Fil reprezentuje, od kilku lat zajmuje się udostępnianiem pamiątek związa-

nych z Kresami w wersji cyfrowej, chciałby także zamieścić tam w/w film, ale nie zna autora. Naszym zdaniem, wobec coraz większej cyfryzacji życia społecznego, inicjatywa cenna i potrzebna. Adres cyfrowego muzeum: www.kresymuzeum.pl. Osoby mające informacje o autorze w/w filmu prosimy o kontakt z naszą redakcją.

Pan Andrzej Przbyszewski jest autorem publikacji na temat 9 pułku ułanów małopolskich z Trembowli (z początku stacjonował w Czortkowie). Wydaje on m.in. czasopismo „Nowy Dziewiątak” poświęcone pułkowi oraz Trembowli. Kontakt dla osób chcących nawiązać kontakt podajemy tel. p. Przybyszewskiego: 511-082-160

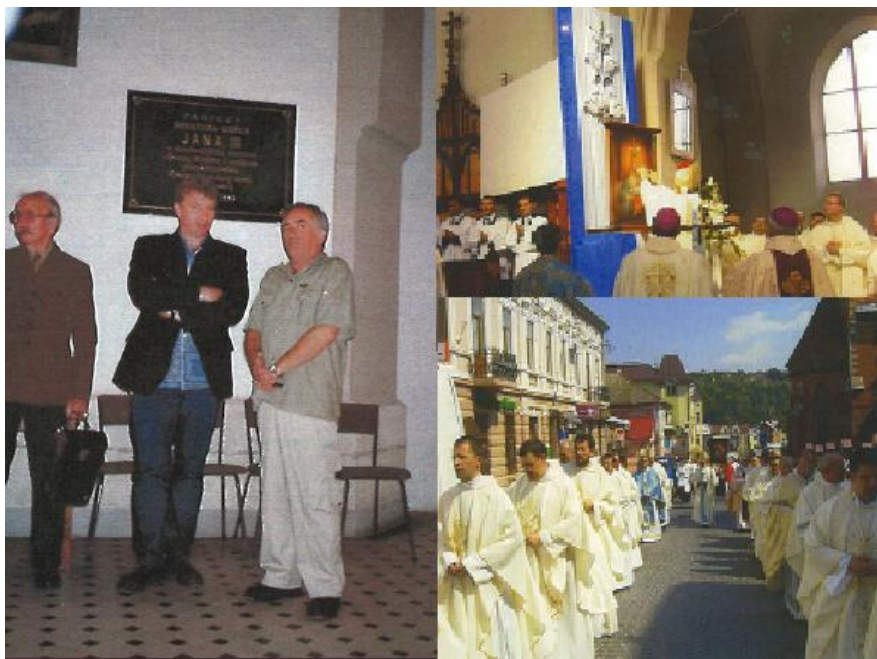
Zwróciły się do nas także dwie redakcje braterskich czasopism: dwumiesięcznika „Spotkania Swirzan” i rocznika „Głosów Buczaczan” z apelem o nadsyłanie materiałów. Osoby mające chęć napisać lub opublikować materiały na temat powiatu Przemyślski oraz powiatu Buczacz (tym owe czasopisma się zajmują) prosimy o kontakt z naszą redakcją – prześlemy dane kontaktowe.

Nasza wieloletnia prenumeratorka pani prof. Stanisława Licznar (Skalaczanka z Wrocławia) przesłała do redakcji bardzo ciekawą pozycję - katalog wystawy „Golgota Wschodu” znajdującej się we Wrocławiu przy ul. Wittiga 10 (niedaleko ZOO i przy kościele - sanktuarium Golgoty Wschodu). Z początku była to wystawa czasowa, która z czasem zmieniała się w wystawę stałą. Wystawę zorganizowała lokalna organizacja „Centrum Historii Zajeżdźnia”. Na wystawie zobaczyć możemy m.in. pamiątki z zesłania, oryginalny wagon kolejowy-bydlęcy, czy rekonstrukcje typowego domu z bali, w którym mieszkali zesłańcy. Godziny otwarcia wtorki-czwartki 9.00-15.00, piątki 11.00-17.00, sobota i niedziela 10.00-16.00, poniedziałki nieczynne, wstęp wolny.

31 marca w Głogowie odbył się z inicjatywy stowarzyszenia „Głogowska Edukacja Kresowa” fortepianowy koncert charytatywny, z którego dochód przeznaczono na pomoc Polakom na wschodzie, w tym także siostrzom Dominikankom w Czortkowie. Łącznie zbierano kwotę 17 tysięcy złotych, które podzielono na pomoc dla kilku polskich organizacji na Wschodzie. Jesteśmy pod wrażeniem frekwencji oraz otwartości serc Głogowian.

W momencie, kiedy bieżący numer „Głosów” trafił do Państwa rąk, w Krzeszowiach k. Krakowa odbywa się XXXVI Zjazd Tarnopolan (22-26 maj), a w Niemysłowicach VI Zjazd Nowosiółczan i Puźniczan (20 maj). Niestety informacja o nich trafiła do nas już po oddaniu poprzedniego numeru do druku. Relacje ze zjazdów w jednym z najbliższych numerów „Głosów Podolan”. Już teraz informujemy natomiast, że w niedzielę 3 września odbędzie się doroczny zjazd Czortkowie. Tradycyjnie rozpocznie się mszą świętą w kościele Dominkanów p.w. Św. Jacka (ul. Freta) we Warszawie o godz. 12.00. Spotkanie po mszy w salce przy kościele.

Nadzwyczaj aktywny pan Edward Słobodziński z Niemczy (rodem z Budzanowa) nadesłał do redakcji szereg archiwalnych zdjęć z uroczystości koronacji kopii obrazu Matki Boskiej z różą w Czortkowie. Jedno ze zdjęć zamieszczamy.



Informujemy i przypominamy, iż nadal zbieramy materiały do planowanego Zeszytu Specjalnego „Policjanci województwa

tarnopolskiego”. Zbieraniem i opracowaniem materiału zajmuje się członek redakcji pan Robert Szczerkowski tel. 880-679-423.

Dziękujemy naszym prenumeratorom za przesłane w ostatnim czasie w znaczne ilości materiałów do publikacji, będące skutkiem naszego apelu. Będą one sukcesywnie publikowane w najbliższych numerach, wg kolejności wpływu i w zależności od objętości. Przepraszamy także za niezamieszczanie wszystkich nadsyłanych do tekstów zdjęć, jednakże zmusza nas do tego określona objętość numeru.



W ostatnim czasie nasze ziemskie szeregi opuścili następujący zasłużeni Podolanie:

Laszczyński Stanisław – wieloletni prenumerator „Głosów Podolan”, zasłużony pedagog, długoletni dyrektor Szkoły Podstawowej w Lubiniu, odszedł na wieczną wartę w wieku 88 lat w kwietniu 2022 roku.

Podhorodecki Tadeusz – Podolanin, wieloletni trener piłkarskich klubów w Zagłębiu Miedziowym, zmarł w styczniu br. w wieku 83 lat.

ks. Dereń Mieczysław urodził się 2 lutego 1941 we wsi Sosnów (pow. podhajce), zmarł 15 lutego br. w Zielonej Górze. wieloletni proboszcz parafii w Trzebielu i Zielonej Górze. Kanonik honorowy Zielonogórskiej Kapituły Kolegiackiej.

Krechowicz Jerzy – urodził się 3 stycznia 1937 roku w Tokach w pow. Zbaraskim, zmarł 20 lutego 2023. Artysta plastyk, wieloletni rektor gdańskiej ASP, trzykrotny laureat nagrody prezydenta miasta Gdańska w dziedzinie kultury.

Zawałkiewicz-Maciąg Miłosława zmarła 22 lutego br. w wieku 95 lat w Tychach. Urodzona w Kamionce Strumiłłowej, Sybiraczka, współtwórczyni i wieloletnia prezes koła Związku Sybiraków w Tychach. Córka ostatniego polskiego dyrektora gimnazjum w Zaleszczykach Mieczysława Zawałkiewicza¹².

Cześć ich Pamięci!

Redakcja

Rok Wojny – list z kresów

Od redakcji: w lutym br. minął rok od agresji rosyjskiej na Ukrainę. Z tej okazji-rocznicy publikujemy list i wiersz, który dostaliśmy na tę okoliczność od siostr Dominikanek z Czortkowa. List ten napisała matka jednej z uczennic polskiej szkoły prowadzonej przez siostry.

Konflikt zbrojny między Ukrainą a Rosją trwa już dziewięć lat – dziewięć lat temu rosyjski żołnierz postawił stopę na naszej ziemi, niosąc ze sobą broń, zniszczenie, wybuchy, cierpienie, ból, śmierć... A rok temu, 24 lutego, Rosja zaatakowała nasz kraj na pełną skalę. Rok temu obudziły nas wybuchy rakiet i okropne słowo "wojna", rok temu nie wiedzieliśmy dokąd biec i co robić. Wiele rodzin wyjechało do innych krajów – niektóre do krewnych, którzy byli tam od dawna, ale większość po prostu uciekała przed znęcaniem się rosyjskich żołnierzy. Wielu przybyło z terenów okupowanych na zachodnią Ukrainę. Większość z nich stara się mówić po ukraińsku, pomagać w tkaniu siatek maskujących na front, w przygotowywaniu posiłków dla żołnierzy – starają się być przydatni w obecnym społeczeństwie, które się dla nich zmieniło. Ale minął rok – i w tym czasie nauczyliśmy się żyć w warunkach wojny. Nie reagujemy już tak gwałtownie na dźwięk syren. Chodzimy do pracy, dzieci do przedszkoli, szkół, uczelni, instytutów, do klubów. Nauczyliśmy się żyć na nowo, zaczęliśmy bardziej cenić swój czas,

¹² Biogram dyrektora Zawałkiewicza znajduje się w Zeszycie Specjalnym GP nr 14 "Zaleszczyki" z 2021 roku

emocje, naszych bliskich i znajomych. Nauczyliśmy się wspierać i pomagać sobie nawzajem. Nie jest to dla nas łatwe. Wiele znajomych rzeczy stało się dla nas niedostępnych – ale to nie jest straszne. Przeżyliśmy czas, kiedy nie mieliśmy światła przez 27 godzin – w domach było zimno i ciemno – były dni, kiedy nie wiedzieliśmy, kiedy włączyć światło i na jak długo. Ale do tego też się przyzwyczailiśmy. Nasze dzieci uczą się w trybie dziennym. W szkołach zrobili najprostsze schrony, do których uczniowie schodzą w chwilach niepokoju. Jeśli jest taka możliwość, lekcje odbywają się w piwnicach. Ale najważniejsze jest to, że dzieci nie porzuciły swoich zainteresowań – uczęszczają także na zajęcia taneczne, wokalne i artystyczne, biorą udział w konkursach. Wiele dzieci wyjechało, ale dołączyły w ich miejsce dzieci uchodźców wewnętrznych. Jest im ciężko – różni wychowawcy, różne formy zajęć, inne nauczanie – ale szybko „wpasowują się” w ten nowy dla nich rytm i wkrótce te dzieci czują się na równi z miejscowymi. Mają nowych przyjaciół, nowe pragnienia. Nawet, gdy nie było światła, a co za tym idzie ciepła, dzieci przychodziły na zajęcia i ćwiczyły przy świetle latarek telefonicznych i w zimnej sali. Ale każdy trud czyni nas silniejszymi. Znamy jedną dziewczynę z Melitopola. Ona i jej mama przeprowadziły się do Czortkowa gdzieś w marcu. Tata został, by walczyć. Na początku grudnia tata został wysłany na dwutygodniowe wakacje. Przyjechał tu do rodziny – córka bardzo się ucieszyła na widok taty – starali się spędzać ze sobą jak najwięcej czasu. Dwa tygodnie później tato wrócił na front i zginął trzy dni po powrocie – w wigilię św. Mikołaja. Nie da się opisać uczuć tego dziecka – zamknęła się na wszystko – a takich dzieci mamy dziesiątki. Wielu mężczyzn poszło na front jako ochotnicy, wielu na wezwanie – część z nich już nie wróci. To bardzo ciężkie uczucie, gdy przywożą martwych żołnierzy – ludzie spotykają ich na kolanach, dzieci płaczą, żony cierpią i rozumieją, że nie są już tymi osobami. Rozumieją, że już nie zobaczą, nie przytulą, nie usłyszą... Ale życie toczy się dalej. I trzeba żyć!

Jesteśmy bardzo wdzięczni Światu za wsparcie.

A Polska to kraj nierealny – tak jak Wy – nikt nas nie wspiera. Jako pierwsi przyjęliście naszych uchodźców, broniliście nas przed Europą o prawo do pomocy, walczyście z nami o nasze prawo do Wolności. Wiera

Mój Czortków
Mój Czortkowie, mój uroczy
Po którym tylko we śnie krocę
Gdyż „przyjaciele”
jak nas wyzwali
Kazali wszystko zostawić i wyjechać najdalej
Czortkowie

-

moje miasto rodzinne
Moje miasto kochane
Jak bardzo jesteś teraz zaniedbane
Nikt się nie troszczy o twoją urodę
Czy to w strugach deszczu, czy w piękną pogodę
Zostawiłam ciebie moje miasto kochane
Często widząc matki oczy zapłakane
Będąc jeszcze dzieckiem
To nie rozumiałam
Za czym moja matka tak często płakała
Jej zatroskania i smutku na twarzy
Mówiła wtedy często

-

jeszcze czas pokaże
Może jeszcze wrócimy
do naszego miasta
Odejdzie w niepamięć wszystko i basta
Ale czas minął, pół wieku ubyło
Zanim na wschodzie coś się zmieniło
Rodzice nie doczekali tej chwili radości
Już nie ujrzeli swego miasta z młodości
Miałam to szczęście choć po wielu latach

Ujrzeć swe miasto zniszczone przez kata
Zapłakałam gorzko nad ruiną domu
Lecz nie powiedziałam o tym nikomu



Zdjęcia z Czortkowa po nalocie rakietowym w czerwcu 2022



Pieśni ludowe z Podola z nutami cz. II – Oj, wyrzę ja przez okienko

przedruk z: „Biblioteczka Pieśni Regionalnych nr. 12 Podole” pod redakcją Karola Hławiczki, Katowice, lata 30 XX w.

Oj, wyrzę ja przez okienko

Z okolic Brodów i Suchowoli.

Żywo (M. M. ♩ = 126)

1. Oj, wyrzę ja przez o- kien- ko,

Oj, wyrzę ja przez o-kien-ko, a tam wilk tań-cu-je.

a tam wilk tań- cu- je. Oj, pewnież on

żo-ny nie ma, gdyż się nie fra-su-je,

Oj, pewnież on żo-ny nie ma, gdyż się nie fra-su-je.

2. Ale jak się on ożeni, (Ale jak się on ożeni), * Ta leśna bestyja, ta leśna bestyja. * Oj, będzież on taki biedny, jako teraz i ja, * Oj, będzież on taki biedny, jako teraz i ja.

3. Wilczysko się ożeniło (Wilczysko się ożeniło), * Uszy opuściło, uszy opuściło. * Au, au, au, au, mocny Boże, * dawniej lepiej było, * Au, au, au, au, mocny Boże, dawniej lepiej było.

Stefan Żyromski
Warszawa

Bądź pozdrowiona, ziemio Podola

Bądź pozdrowiona
 Ziemio Podolska
 Ziemio Ty nasza
 Ziemio Ty Polska

Kłaniam się prochom
 Rycerzy Sobieskiego
 Poległym pod Podhajcami
 W obronie bytu polskiego

Bądź pozdrowiona ziemio
 Buczacko-Jazłowiecka
 Ziemio Monasterzyska
 Ziemio Podhajcka

Kłaniam się zaginionym w tajgach Sybiru
 Zamordowanym w lesie Katynia
 W kazamatach Łubianek i Charkowa
 W klasztornych celach Czortkowa

Ziemio przez ojców wybrana
 Ziemio mych lat młodzińczych
 Tak przez nas kochana
 Tak przez nas lubiana

Kłaniam się miastom i wioskom
 Pozostawionej ziemi rodzinnej
 I choć z daleka to sercem z bliska
 Kłaniam się Tobie, Monasterzyska

Pozdrawiam twoje lasy i pola
 Wody Dniestru i Strypy
 Jary Koropca
 I Złotej Lipy

Miasto leżące wśród pól
 Lasów i krętych rzek Podola
 Gród tak przez nas kochany
 Gród nigdy niezapomniany

Pozdrawiam Cię, góro Podhorodne
 Twoje kręte ścieżki, małe polanki
 Tajemne zakątki i uroczyska
 Pozdrawiam Cię, Monasterzyska

Byłeś dla nas
 Kolebką i źródłem
 Nauczyłeś nas kochać
 Urzekłeś pięknem swoim

Pozdrawiam ziemię, na której
 Powstał tak śpiewny, tak polski
 Jedyny niepowtarzalny
 Nasz dialekt podolski

Dlatego w sercach naszych
 Kochana Ziemio Podolska
 Pozostaniesz na zawsze
 Najpiękniejsza Ziemio Polska.

Warszawa, czerwiec 1993